

Nadzieja za kratami – rozmowa z Andrzejem Drzycimskim

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
NR 12(408) GRUDZIEŃ 2024

ISSN 0867-8952

WIGILIA I BOŻE NARODZENIE

jeńców wojennych
i więźniów obozów zagłady

ZYCZENIA

ŚWIĄTECZNE

WB
OFLAGIIEK 1943



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 12(408) grudzień 2024

facebook

dołącz do nas na facebooku
www.facebook.pl/udskior

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

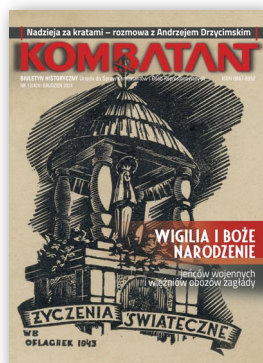
Partnerem Projektu jest
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3700 egz.



w numerze

4 Gdy w okopach wybrzmiały kolędy...

Wydawałoby się, że wigilijny wieczór 1914 roku naznaczą żołnierskie: znoj, pot i krew. To prawda, ale dźwięk kolęd, który wybrzmiał 110 lat temu pod Łowczówkiem, był czymś zupełnie wyjątkowym

Wademar Kowalski

8

„Okruszki chleba, potajemnie śpiewane kolędy, a pod choinką ciała więźniów” – Wigilia i Boże Narodzenie więźniów obozów jenieckich, zagłady i koncentracyjnych

Celebrowanie świąt w obozie było przede wszystkim formą oporu przeciwko wszystkiemu temu, co zabronione. Wyrabiała ono ogromne poczucie wspólnoty

Katarzyna Krzykowska

Nadzieja za kratami

Rozmowa z Andrzejem Drzycimskim, historykiem, dziennikarzem, członkiem NSZZ „Solidarność”, internowanym w Strzebielinku

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

16 Strzebielinek – z drugiej strony muru

Stan wojenny zaskoczył wszystkich. W 1981 roku byłam dzieckiem i chciałam zrozumieć, co się dzieje. Czy to wydarzenie jest ważne? O czym mówi Jaruzelski?

Daria Radecka-Marzec

20 Na nowym froncie walki o Polskę – działalność społeczna polskiej emigracji wojskowej w Wielkiej Brytanii w pierwszych latach po wojnie

Wracać do nowej Polski czy zdecydować się na emigrację. Decyzję tę musiało podjąć ćwierć miliona żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie

Jakub Żak

24 Trudna współpraca Jerzego Giedroycia i Melchiora Wańkowicza

Chociaż Jerzy Giedroyc i Melchior Wańkowicz poznali się jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, to dopiero przymusowa wrześniowa emigracja w Bukareszcie 1939 roku połączyła ich bliżej

Agata Fijuth-Dudek

28 „Odcinkowe konfrontacje”, które utorowały drogę do „mniejszego zła”

W przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego ważną rolę odegrała taktyka tzw. odcinkowych konfrontacji. Przyniosła ona m.in. spadek poparcia dla NSZZ „Solidarność”

Grzegorz Majchrzak

OKŁADKA: Drzeworyt okolicznościowy wykonany w oflagu IIE Neubrandenburg

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU



Szanowni Czytelnicy,

przekazujemy Państwu grudniowy numer biuletynu „Kombatant”, a ponieważ jest to numer świąteczny, dlatego wyjątkowe miejsce zajmują w nim opisy Wigilii obchodzonych przez żołnierzy i więźniów obozów koncentracyjnych. A były to naprawdę niezwykle chwile, gdy w przerwach między walkami, śpiewanym przez legionistów kolędom wtórowali Polacy służący w szeregach rosyjskiej armii. Natomiast przedstawiany w biuletynie obraz obozowych Wigilii wstrząsa swoim tragizmem i okrucieństwem niemieckich oprawców.

W PRL-u grudzień był nie tylko miesiącem radosnego oczekiwania na zbliżające się Święta i ... import niedostępnych na ogół cytrusów. Pamiętamy, że był także w 1970 i 1981 roku czasem brutalnej rozprawy z tymi, którzy walczyli o wolność naszej Ojczyzny oraz prawa pracownicze i obywatelskie. Tej tematyce poświęcamy materiały wspomnieniowe ofiar stanu wojennego internowanych w Strzebielinku. Uzupełnia je obszerny artykuł przedstawiający prowokacje komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, zmierzające do zaogniania społecznych konfliktów i przedstawienia działaczy solidarnościowej opozycji jako radykalnych wichrzycieli.

Ten świąteczno-grudniowy materiał dopełniają artykuły związane z wojenną i powojenną emigracją.

Żegnamy kolejny rok bogaty w liczne uroczystości poświęcone ważnym dla nas wszystkich rocznicom. Podczas ich celebrowania w kraju i za granicą przypominaliśmy, że Polacy pierwsi stawili opór totalitaryzmom – niemieckiemu i sowieckiemu, a pół wieku później otworzyli drzwi wolności dla narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Nie zapominaliśmy także o sprawach bieżących, rozwijając w szczególności programy pomocowe adresowane do podopiecznych Urzędu i wspierając działalność stowarzyszeń.

Podczas licznych spotkań i uroczystości miałem zaszczyt, jako Szef Urzędu, bliżej poznać środowiska zrzeszające kombatantów, działaczy antykomunistycznej opozycji i ofiary reżimów totalitarnych. Dało mi to możliwość szerszego zaznajomienia się z ich problemami i postulatami.

W związku ze zbliżającymi się Świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem składam Państwu najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



Gdy w okopach wybrzmiały kolędy...

TEKST | Waldemar Kowalski

Wydawałoby się, że wigilijny wieczór 1914 roku naznaczą żołnierskie: znoj, pot i krew, wszak wojenne okopy to nie miejsce na radosne świętowanie Bożego Narodzenia. To prawda, ale dźwięk kolęd, który wybrzmiał 110 lat temu pod Łowczówkiem, był czymś zupełnie wyjątkowym.

Wwigilijną noc na jednym z odcinków frontu pod Tarnowem ucichły wystrzały z karabinów i świsty kul armatnich. Ustał bitewny zgiełk, który od dwóch dni spędzał młodym strzelcom sen z powiek. Przemarznięci i przemoczeni żołnierze I Brygady szukali wytchnienia. Cieszyli się tym, co mają – spotkaniem z towarzyszami broni, ciepłą strawą czy choćby namiastką świątecznej atmosfery, jaką udało im się odtworzyć.

Legenda Wigilii pod Łowczówkiem, zbudowana przez uczestników bitwy, zawiązała naszą wyobraźnię. Relacje z frontu, pisane niezwykle barwnym językiem, dobrze oddają dramatyzm tamtych grudniowych dni.

Zburzony spokój

To miały być spokojne święta, spędzone przez strzelców Józefa Piłsudskiego w Nowym Sączu. Ledwo doszła jednak do nich wiadomość o sformowaniu I Brygady, a już – mimo zmęczenia dotychczasowymi walkami na froncie galicyjskim – musieli szykować się do kolejnej bitwy. Tym razem żołnierski los rzucił ich pod niewielką miejscowością w powiecie tarnowskim, gdzie wykuwać się miała, nie pierwsza już podczas tej wojny, legionowa epepeja.

Pod Łowczówkiem naprzeciw dwóch polskich pułków, wspartych przez siły cesarsko-królewskie, stanęli żołnierze z XXI Korpusu armii rosyjskiej. Pod nieobecność Piłsudskie-

go, który na wezwanie Austriaków wyjechał do Wiednia, brygadą dowodził jego przyjaciel, szef sztabu ppłk Kazimierz Sosnkowski. Miał do dyspozycji około dwóch tysięcy żołnierzy, młodych, choć już zaprawionych w bojach o niepodległość.

Ich duch bojowy był niezmiernie wysoki, jednak zadanie – jakiemu mieli sprostać – nie należało do łatwych. Rosjanie przystąpili do kontrofensywy w Galicji Zachodniej, koncentrując swe uderzenie między Łowczówkiem a Pleśną, co groziło przerwaniem frontu i wyjściem na tyły wojsk austro-węgierskich. Polacy z I Brygady mieli zapobiec okrążeniu poprzez zdobycie i utrzymanie dwóch okolicznych wzgórz.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NIAC.OMB.PL)

legionistom groziło niemal zupełne odcięcie!

Wskutek nieporozumienia polskiego dowództwa z austriackim sztabem doszło do kuriozalnej sytuacji, którą tak opisuje ojciec Kosma Lenczowski, kapelan I Brygady: *Rozgniewany Sosnkowski daje rozkaz odmarszu. Pakujemy rannych na wozy, zostawiamy kurę na kuchni i odchodzimy. Błoto – glina do kolan. Musiałem zejść*

Trudny, lecz wzniosły czas

Wigilijny dzień zastał żołnierzy I Brygady w okopach. Miniona, nieprzeznaczona noc, w trakcie której wroga artyleria ostrzeliwała odzyskane przez Polaków pozycje, nie zapowiadała spokoju.

– *Dzień 24 grudnia w przebiegu tej gwałtownej rozprawy napięciem nie ustępował dniom poprzednim. Linie walczących tężyły się naprzeciw sobie o 30–40 kroków odległości. Na próżno szalał ogień artylerii nieprzyjacielskiej, nasz front trwał w ogniu, wszystkie rezerwy wcieliwszy w obrót walki – relacjonował ppłk Sosnkowski.*

O poranku Rosjanie zbliżyli się już bardzo blisko do polskiej linii umocnień. Kolejny szturm wydawał się tylko kwestią czasu. Rosjanie nie zamierzali odpuszczać, tym bardziej, że na „swoje” święta – zgodnie z kalendarzem juliańskim – mieli jeszcze poczekać prawie dwa tygodnie.

– *Podsunęli się Moskale na 30 kroków pod nasze okopy i zarzucali je nieustannym ogniem. Piektło było w powietrzu, huk i trzask nieustanny, granaty waliły po lesie i jęk rannych rozlegał się co chwila – tak dramaturgię wigilijnych walk oddawał jeden z legionistów, autor wspomnień opublikowanych w „Żołnierzu Polskim” w 23. rocznicę bitwy.*

Jak czytamy, świadomość wyjątkowości tego dnia w niejednym Polaku rozbudziła ducha walki: *Wiara rozżarła się na dobre, że to dzień święta, wigilijny dzień, zawsze w domu, wśród rodziny spędzany, więc żalność okrutna objęła serca żołnierskie i z tej żalności, z gniewu, darliśmy się w ogień, jak nie pamiętam kiedy. Widziałeś wokół siebie przybladłe twarze, zmarszczoną brew, spokojne, zawzięte oko przy kolbie karabinu. Biliśmy celnie, dokładnie, toteż straty Moskale wielkie były tego świątecznego dnia.*

Wieczorem, na sporym odcinku frontu, strzały ustały. Gdzieniedzie



22–25 grudnia 1914 r. pod Łowczówkiem w okolicach Tarnowa Legiony Polskie za cenę 128 zabitych i 342 rannych uniemożliwiły Rosjanom przełamanie frontu FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Sosnkowski nie zamierzał zwlekać. Liczył na zaskoczenie wroga, tym bardziej że dni o tej porze roku były wyjątkowo krótkie, a każde działanie nocą wiązało się z osłabieniem możliwości obronnych wroga. Ponadto, mimo końcówki grudnia, pogoda była znośna, a przecież zawsze mogła ulec pogorszeniu. Padający deszcz i silny wiatr nie były aż takim problemem, jaki mogłyby stanowić mrozy. Obłożone zbocza wzniesień oraz zalegający na nich śnieg, byłyby dla żołnierzy prawdziwym utrapieniem.

Polacy uderzyli na wroga zniemacka, po zmroku 22 grudnia. Już kolejnego dnia udało się wyprzeć nieprzyjaciela. Legioniści okopali się na zdobytych pozycjach, ale sytuacja wciąż była dynamiczna. Rosjanie nie dawali za wygraną, wielokrotnie dokonując kontruderzeń. W pewnym momencie

Widziałeś wokół siebie przybladłe twarze, zmarszczoną brew, spokojne, zawzięte oko przy kolbie karabinu. Biliśmy celnie

z konia, bo on ze swymi kopytami nie mógł sobie sam podolać. Padają gęste pociski, rozbili nam kuchnie i aptekę. Z trudem i mozołem uszliśmy może 6 km. (...) W tym momencie nadbiega ordynans z rozkazami: wracać na pozycje! Wyobrazić sobie rozpacz naszą. Ale wracamy. W naszych okopach już Moskale, trzeba ich wypierać i wyparto. Sanitariat wrócił do chałupki.

tylko słycać było jęki rannych, dochodzące z okopów. Żołnierze I Brygady, korzystając z przestoju w walkach, szukali okazji do wytchnienia. Mimo trudów walk i trosk rysujących się na twarzy, nie zrezygnowali z prób godnego, choć nader skromnego, spędzenia Wigilii.

Wacław Lipiński, uczestnik bitwy i autor dziennika, zapisał: *Godzina za godziną mija, powoli się zmierzcha, krwawe blaski wieczornej zorzy zalewają czerwienią młody las. Wieczór wigilijny. Łamiąc się sucharami, bo nie dla wszystkich starczyło opłatków, składamy sobie życzenia, siląc się na humor i beztruskę (...). Pierwsza wigilia spędzona w polu, daleko od rodzinnego domu... Zapada wieczór i biały księżyc osrebrzą las. Po godzinie wycofują nas i cicho, tajemniczo z bagnami na broni wychodzimy z lasu. Cisza – tylko coraz zaśpiewa kulka i trzaśnie o drzewo.*

Żołnierskie spotkania, organizowane naprędce na pierwszej linii frontu, okazały się prawdziwym fenomenem. Nie była to oczywiście żadna wigilijna uczta, ale wtedy, w tej konkretnej chwili, legionieści cieszyli się z tego, co mieli, a czym można było się podzielić z towarzyszem broni. Życzono sobie lepszego jutra oraz wolnej ojczyzny. Łamiący się głos i łzy już nikogo nie dziwiły.

Nie lada rarytasem miała być kupa od miejscowego gospodarza kura, o której wspominał kapelan I Brygady. Ta jednak przepadła w nieznanym do końca okolicznościach, spowodowanych sprzecznymi rozkazami, które kazały legionistom opuścić swe pozycje, a następnie... ponownie je zdobywać.

– *Kury – ani śladu, ogień zagasł, nic nie ma na Wigilię. Przyniesiono choinkę, rannych niewiele, więc aptekarz Łopatka przybrał ją watą zabarwioną krwią żołnierską i blaszkami z konserwowych puszek austriackich, zapalono 3 świeczki, na wierzchu na-*

prędce orzeł polski ołówkiem na papierze narysowany. Gospodarz wyjął prześcieradło, nakryto stół, opłatek położono i trochę chleba, ale naczynia na potrawy było dostatecznie, ja i dr Rouppert [naczelnym lekarz I Brygady – red.] dostaliśmy miski, a reszta próżne puszkę z konserw. Podzielono się opłatkami, złożono sobie wzajemne życzenia „Wolnej Polski”, przegryźli chleba i po uczcie – czytamy w relacji kapelana.

Możliwość spokojnego spożycia wigilijnego posiłku była prawdziwym luksusem. Część żołnierzy ten wyjątkowy wieczór spędziło bowiem w rowach strzeleckich, obserwując przedpole i trwając na posterunkach. Przybył do nich dowodzący jedną z kompanii ppor. Leopold Lis-Kula oraz ks. Stanisław Żytkiewicz. Także w okopach nie zabrakło modlitwy, refleksji, życzeń i dzielenia się opłatkami.

Bóg się rodzi!

Jak Wigilia to oczywiście kolędy, i także ich nie zabrakło pod Łowczówkiem. Nie sposób ustalić, kto i gdzie jako pierwszy zaintonował melodię tych tradycyjnych pieśni, wystarczyła jednak chwila, aby rozniosła się ona po obu stronach wrogich umocnień. Podchwycili ją Polacy z I Brygady, jak i ich rodacy w rosyjskich mundurach. Ponoć nawet Austriacy nie stali bezczynnie i sami, po niemiecku, zaśpiewali „Cicha noc” („Stille Nacht”).

Tadeusz Kasprzycki, dowódca słynnej Kadrówki, notował: *Noc upływała na porządkowaniu obsady, walce ogniowej, wybuchającej gwałtownie co pewien czas wskutek jakiegoś odgłosu czy ruchu... i śpiewaniu przez obie wrogie linie kolęd. Przed legionowymi batalionami stały „po tamtej stronie” pułki rosyjskie, które wypełniał polski rezerwista.*

Dźwięk kolęd wprowadził żołnierzy w nieco radośniejszy nastrój, ten jednak – co oczywiste – musiał mieszać się ze wzruszeniem. – *Zaintono-*

wano kolędy i pokazały się łzy na policzkach, bo na wspomnienie rodzin, poległych naszych, niepewnej przyszłości Polski, bo Austriacy i Niemcy pary o niej nie puszcza – trudno było nie płakać nawet żołnierzowi – przyznawał ojciec Lenczowski.

Sierżant Rutka opisywał: *Gdy po złamaniu się opłatkami zanucił ktoś*



Pułkownik Kazimierz Sosnkowski, szef sztabu i zastępca dowódcy I Brygady Legionów Polskich. FOT. Z BOJÓW LEGIONÓW POLSKICH, CZ. 3 „BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM” ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

z cicha „Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj”, podniósł się śpiew z całych okopów, z żółtej linii piachu i poszedł w las do Moskali... Aż tamtych lęk ogarnął. Ściszyli swój ogień, przestali strzelać, a myśmy im śpiewali naszą piosenkę Bożego Narodzenia, wierząc, że jak narodził się Chrystus, tak z trudu naszego i znoju, z naszej krwi przelewanej w ten wigilijny dzień pod Łowczówkiem – narodzi się ojczyzna nasza, Niepodległa Polska Rzeczpospolita.

W kolejnej relacji, zamieszczonej w żołnierskim dzienniku Lipińskiego, możemy przeczytać: *Co jakiś czas, w gruchocie ognia, przy nieco dyszarmijnym okrzyku rannych, których sypie się coraz więcej, śpiewamy kolędy... Zawodzimy staropolskie „Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj”... składając się z karabinów, na których błyszczące zamki od czasu do czasu kapnie sentymentalna łezka.*

Te silne emocje, a nawet lzy, nie osłabiły woli walki. Wręcz przeciwnie, legionieści pałali żądzą odwetu na Rosjanach. – *Trzyma się nas dziki upór i gotowiśmy na pazury drzeć się z sybircami, choćby za to, że nam tak piękne święto w kochanym Sączu na nic popsuli* – przypomniał autor pracy „Szlakiem I Brygady”.

nych spotkań między żołnierzami, na których dzielono się opłatkiem, składano życzenia i kolędowano – była wyjątkowa, to wydarzenia z 25 grudnia brutalnie zburzyły tę namiastkę świątecznej atmosfery. „Pierwsze w polu” Boże Narodzenie – jak podkreślał ojciec Kosma – nie napawało optymizmem. *Kapłani odprawiają po*

nierzy, więc pakujemy rannych na wozy, idą mniej ranni, a zostają z braku miejsca ranni w chatupie. Trudno zorganizować pomoc, bo brać rozproszone, błoto straszne i ciemno, bo to już po 16 godz. Mówią, że Austriacy zwiaili, zostawiając nas samych. To szczęście, że nas Moskale nie zgarnęli.

Odwrot oddziału z pierwszej linii walk wcale nie był łatwy. Szczęśliwie polskim oficerom nie zabrakło doświadczenia i przysłowiowej „zimnej krwi”. Polacy umiejętnie, w zorganizowany sposób, opuścili zagrożony odcinek i wycofali się do Wróblowic, skąd przemaszerowali następnie w rejon Lipnicy Murowanej.

– *Żołnierze, w bitwie pod Łowczówkiem daliście dowód męstwa, które szacunkiem przejmuję dla Was szeregi armii, a za które nieprzyjaciel płaci stosami trupów i rannych. Wojenna postawa Wasza wskrzesza dawne tradycje oręża polskiego (...) Uporem swym, hartem i męstwem tego dnia okazany wystawiliście sobie świadectwo godne tych wszystkich, których sława przyświeca Waszemu orężowi. Dowiedliście, że nie ma wysiłku i nie ma ofiary dość trudnej, byście się nie podjęli, gdy wróg złamać Was pragnie, a Wy zwyciężać chcecie* – podkreślił w przytoczonym wcześniej rozkazie ppłk Sosnkowski.

Z bohaterami spod Łowczówka szybko spotkał się wracający z Wiednia brygadier Piłsudski. Także on nie szczędził pochwał pod adresem młodych strzelców, którzy nie pierwszy raz w tej wojnie dowiedli swej wartości bojowej, zyskując „sławę pierwszorzędnego wojska”.

W bitwie sprzed 110 lat poległo 128 żołnierzy osławionej już I Brygady. Było to kolejne świadectwo – jak tłumaczył Piłsudski – że za honor należenia do naszego grona obficie krwią trzeba płacić. ■



Początek bitwy pod Łowczówkiem FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Wyjątkowe chwile sprzed 110 lat nie umknęły uwadze także przyszłemu premierowi, wówczas legionowemu lekarzowi – Felicjanowi Sławoj-Składkowskiemu. Jak wspominał: *W tę noc wigilijną chłopcy nasi w okopach zaczęli śpiewać „Bóg się rodzi”... I oto z okopów rosyjskich Polacy, których dużo jest w dywizjach syberyjskich, podchwycili słowa pieśni i poszła w niebo z dwóch wrogich okopów! Gdy nasi po wspólnym odśpiewaniu kolęd krzyknęli: „Poddajcie się, tam, wy Polacy!” nastąpiła chwila ciszy, a później – już po rosyjsku: „Sibirskije strielki nie sdajutsia”. Straszna jest wojna bratobójcza. Podobno jeden z naszych młodych chłopców wziął do niewoli ojca swego, którego zabrali do wojska rosyjskiego.*

Pierwsze takie święta

O ile Wigilia pod Łowczówkiem – za sprawą spontanicznie organizowa-

trzy Msze św., a ja, ani nie wiem, w której stronie Kościoł. Pomodliłem się i na tym koniec całej uroczystości – wspominał zakonnik.

Tego dnia, już od wczesnych godzin porannych, mimo gęstej mgły, Rosjanie ponowili zmasowane ataki. Legionieści nie zamierzali jednak ograniczyć się tylko do obrony, dokonując kontrnatarć. W pewnym momencie, wskutek odwrotu sił austriackich, Polakom zaczęło zagrażać jednak oskrzydlenie. Odwrot, o który zabiegał już od jakiegoś czasu ppłk Sosnkowski, wydawał się jedyną racjonalną decyzją. Tak też się stało. Około godziny 13:00 nadszedł długo wyczekiwany przez Polaków rozkaz ze sztabu wojsk austro-węgierskich.

Kapelan I Brygady opisywał: *Bitwa zelżała chwilowo – rozhulała się koło południa. Nie wiem co się stało, ale przyszedł rozkaz zwijać manatki. (...) I już widać odmaszerowujących żoł-*



TEKST | Katarzyna Krzykowska

„Okruszki chleba, potajemnie śpiewane kolędy, a pod choinką ciała więźniów”

– Wigilia i Boże Narodzenie więźniów obozów jenieckich, zagłady i koncentracyjnych

To, w jaki sposób obchodzono święta w obozach koncentracyjnych, zależało tak naprawdę od bardzo wielu czynników – stosunku władz esesmańskich, od baraku w jakim więzień mieszkał, do jakiej społeczności więźniarskiej należał, również od więźniów funkcyjnych – podkreśliła historyk Wirginia Węglińska w materiale przygotowanym przez Muzeum II Wojny Światowej.

Badaczka zwróciła uwagę, że „znaczne różnice w obchodzeniu świąt były w latach 1939–41, a zupełnie inaczej wyglądały Wigilie w obozach koncentracyjnych w latach 1943–44”. – Choinka stawiana przez władze SS, władze obozowe, na placu apelowym, nie była raczej sym-

bolem świąt, a wycieńczonym ludziom kojarzyła się często z czymś bardzo represyjnym. Więźniowie w tym początkowym okresie nie mieli prawa do organizowania żadnych własnych świąt religijnych. Najczęściej potajemnie, szeptem, w barakach śpiewali kolędy i te kolędy śpiewane szeptem

wyrabiały w nich niesamowite poczucie wspólnoty i jedności w ten ważny wigilijny wieczór – dodała.

Podkreśliła, że celebrowanie świąt w obozie było przede wszystkim formą oporu przeciwko wszystkiemu temu, co było zabronione i wyrabiało ogromne poczucie wspólnoty wśród

więźniów, którzy dzielili się otrzymanymi z domu paczkami, wspólnie organizowali różnego rodzaju drobne przedstawienia, jasełka. – *Szczególnie w 1944 roku, kiedy władze obozowe przymykały oko na wiele artystycznych działań więźniarskich – dodała.*

Rotmistrz Witold Pilecki, w latach 1940–1943 dobrowolny więzień w KL Auschwitz, pisał: *Na Boże Narodzenie*

1940. – *Na placu apelowym hitlerowcy ustawili choinkę oświetloną elektrycznymi lampkami. Pod drzewkiem zostały złożone ciała więźniów zmarłych w czasie pracy oraz zamrożonych na apelu. Były więzień Karol Świętorzecki wspominał później, że Lagerfuehrer Karl Fritzsch określił leżące pod choinka zwłoki mianem „prezentu” dla żyjących i zabronił śpiewania polskich kolęd – napisano na stronie Muzeum Auschwitz-Birkenau.*

Rok później, w 1941 roku, Niemcy „zorganizowali” równie tragiczną Wigilię. W czasie powrotu z niewolniczej

dwukrotnie. Mimo srogiego mrozu więźniowie musieli wysłuchać wygłoszonego w języku niemieckim orędzia papieża Piusa XII. Zamarzły 42 osoby. Widząc to wielu więźniów załamało się psychicznie.

W KL Dachau, położonym w pobliżu Alp, zima dawała się więźniom szczególnie we znaki. Obóz stał się centralnym miejscem eksterminacji polskiego duchowieństwa. Jezuita Adam Kozłowiecki, późniejszy kardynał Zambii, w wydanym po wojnie pamiętniku „Ucisk i strapienie” tak wspomina Wigilię 1940 roku w Dachau: *Drugie imieniny i druga Wigilia poza domem! Bardzo przykra jest praca przy śniegu, przy której stale biorą księży. Kapo Hentschel pędzi i szuka nuje przy tej pracy. Apel wieczorny wcześniej, ale musieliśmy swoją godzinę odstać do godz. 6 [wieczorem] na mrozie. Po powrocie na blok, zasiedliśmy do Wigilii w bardzo rzewnym nastroju. Półgłosem śpiewaliśmy „W żłobie leży...”, potem ks. Putz złożył życzenia izbowemu i nam wszystkim. Na Wigilię mieliśmy po 2 lub 3 ziemniaki, ćwiartkę czarnego chleba tj. około 330 gramów (na kolację i śniadanie) oraz 25 gramów margaryny.*

Z kolei ks. Antoni Latocha, również więzień Dachau, przywołuje moment dzielenia się czarnym chlebem zamiast opłatkiem, którego oczywiście więźniowie nie posiadali. – *Ks. Jęczkowski przyniósł ze swojej szafki kawałek czarnego suchego chleba i powiada: „Opłatka nie ma, ale choć tym chlebem się podzielimy”. Pasterki nie mieliśmy, a kolędy śpiewano półgłosem, żeby nie drażnić SS-manów. Na placu apelowym ustawiono olbrzymią choinkę oświetloną lampkami elektrycznymi. Pod nią zamiast podarków, jak to bywało w domu, stali Häftlindzy (więźniowie) odbywający różne kary. W ten sposób spędziłem wieczór wigilijny 1940 roku – wspominał.*

Więźniowie obozów w swoich opowieściach opisują głównie tęsknotę za



Podporucznik Jan Gładych „Bemol” grający na akordeonie. Oflag XI B Bergen-Belsen FOT. WIESŁAW CHRZANOWSKI „WIESŁAW” / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

1940 roku więźniowie po raz pierwszy otrzymali paczki od rodzin. Żywnościowych nie wolno było wysyłać. Niektórzy otrzymali więc pierwszą paczkę w Oświęcimiu – paczkę odzieżową, zawierającą rzeczy z góry określone: sweter, szalik, rękawice, nauszniki, skarpetki. Więcej przysyłać nie można było. Jeśli w paczce była bielizna – szła do worka w „Effektenkammer” pod numer więźnia i tam leżała. (...) Paczka na Boże Narodzenie była jedną jedyną w roku, i choć nie zawierała jedzenia, była jednak potrzebna ze względu na ciepłe rzeczy i miła, bo z domu.

Z relacji więźniów wynika, że jedną z najtragiczniejszych Wigilii w Auschwitz-Birkenau była właśnie ta w roku

Na Wigilię mieliśmy po 2 lub 3 ziemniaki, ćwiartkę czarnego chleba oraz 25 gramów margaryny

pracy przy budowie KL Auschwitz II-Birkenau do obozu macierzystego, hitlerowcy zabijali jeńców z komand radzieckich, którzy nie byli w stanie już iść o własnych siłach. Zginęło wówczas około 300 osób.

Ludwik Kryński wspomina, że w Wigilię tego roku apel odbył się

domem, smutek, żal za to, jaki los ich spotyka.

Więzień KL Dachau Teodor Musioł, w liście z 6 grudnia 1942 roku pisał do swoich rodziców: *Stoimy znowu przed świętami Bożego Narodzenia, których nie będziemy, niestety obchodzić przy jednym stole. Boże Narodzenie jest świętem miłości, przywiązania. Daje ono nowe życie, które nie umiera, ale krąży. Kiedy w cichej godzinie wigilijnego wieczoru myślę o was, o rodzinie, o Tobie moja kochana Matko, o Ojcu, o całym moim rodzeństwie, ogarnia mnie tęsknota.*

Michał Ziółkowski w książce „Byłem numerem... historie z Auschwitz” opowiadał: *Wigilia 1940 roku. Smutna to Wigilia. My, Polacy, przywiązani do tego szczególnego dnia, darzymy go zawsze sentymentem. (...). Przydałby się w tym dniu opłatek. Niestety, dzielimy się tylko okruszkami chleba. Życzymy sobie sił, choć wiemy, że nie wszyscy przeżyjemy. Cała treść rozmów w tym dniu skupia się wokół naszych domów, najbliższych i najdroższych. Pomyślałem o swoich: czy są jeszcze żywi, czy mają dach nad głową? No cóż, ten wieczór i chwila przywracają wspomnienia ciepła, miłości matczynej. Dlatego też są i tzy. Same święta Bożego Narodzenia, a tuż za nimi Nowy Rok przechodzą prawie niepostrzeżenie.*

Władysław Gębik, więzień obozu Stutthof, wspominał, że najtrudniejsza była noc wigilijna. – *W milczeniu kładliśmy się spać, zamyśleni, oswiali, jakby lekając się głośniego przypomnienia, że to przecież Wigilia. Tylko głębokie westchnienia wypełniające pustkę po wygaszonych światłach świadczyły, że sen nie kleił się do powiek... W smutku i ciszy wypełnia się mrok karnej izby niespokojnym milczeniem, które zaczyna ciążyć nam coraz bardziej. Nie odmawiamy nawet wieczornej modlitwy. – Hej bracia, czy śpicie? – odzywam się szeptem słowami kolędy. Poruszyli się na bar-*

łogach. Nikt przecież nie spał. Nie mógł spać. – Podobnie jak my, cały nasz kraj pogrążony jest dziś w smutku i żalobie. Ale to nie powód do rozpaczki. Pozwólcie więc kochani, że powiem parę słów. Szczęśliwi możemy być, że żyjemy. Kiedy my żyjemy, Polska żyje... Wierzę głęboko, że przetrwamy wszystko, zniesiemy jeszcze większe cierpienia i wrócimy do Ojczyzny wolnej i zwycięskiej. W tej chwili łamiąc się z wami symbolicznym opłatkiem, życzę wam bracia, i sobie, abyśmy następną Wigilię obchodzili

Kolędować nie wolno. Wszyscy przenieśli się myślami do swoich i snuli powrotne marzenia. Noc księżycowa, lekki mróz i śnieg – idealne święta – niestety tylko pod tym względem.

We fragmencie notatek znalezionych przy zwłokach niezidentyfiko-

Wigilia 1940 roku. Smutna to Wigilia. My, Polacy, przywiązani do tego szczególnego dnia, darzymy go zawsze sentymentem



Barak nr 198 w oflagu XI B Bergen-Belsen FOT. WIESŁAW CHRZANOWSKI „WIESŁAW” / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

już w wolnej Polsce – mówił do współwięźniów Gębik.

Zaduma, tęsknota, rozpacz i niepewność jutra – towarzyszyły także tysiącom oficerów Wojska Polskiego, więzionym przez Sowieców w obozie specjalnym NKWD w Kozielsku, podczas Wigilii 1939 roku.

Kapitan Tomasz Siwicki zanotował: *Wigilia. Zabroniono kolęd i zbierania się. (...) Pałac ostatnią „Mewę”, spędziliśmy czas do godziny 1-szej. Zamiast choinek zatknięte na słupach gałązki. Palily się tu i ówdzie świeczki, krążyły opłatki robione przez jeńców z mąki (szare cienkie placuszki). Z jednej strony panowało ożywienie, z drugiej głęboka zaduma i nawet tzy.*

wanego oficera wydobytych podczas ekshumacji w Katyniu w 1943 roku można przeczytać: *Wracając przez las zbieraliśmy gałązki, by zrobić choinkę. Sporządził ją mjr Podoski. Dziś wigilia – opłatek zrobiony przez kolegów. Stół nakryty prześcieradłem, choinka malutka ubrana piernikami i papierosami. Pokój mój – 40 kolegów – dzielimy się opłatkiem i wśród szlochów i łez składamy sobie życzenia, a całą duszą i sercem rwie się każdy z nas do najdroższych. Po opłatku chleb ze śledziem i herbata. Nie mogę nic przelknąć. Oddalam się od mej pryczy i tkając, ślę swe życzenia Stefie i Hance i wszystkim moim drogim gorącą modlitwę.*



Obraz „Boże Narodzenie w obozie”
FOT. ZE ZBIORÓW PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU



Zabawka choinkowa
wykonana w grudniu
1944 r. w oflagu IX C
Molsdorf
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

We wspomnieniach więźniów zdarzają się także „białe plamy” kiedy wracają do czasu świąt Bożego Narodzenia. Stanisław Zalewski, były więzień Pawiaka, KL Auschwitz-Birkenau i KL Mauthausen-Gusen tak wspominał święta Bożego Narodzenia w Gusen: *Pamiętam pierwszą Wigilię z 1943 roku. Blokowy powiedział do nas: idą święta, musicie być czysti. I zagonił nas do kąpieli. Kąpano nas pod natryskiem na świeżym powietrzu, w zimnej wodzie, była tam tylko wiata. Później weszliśmy do baraku. Tutaj pojawia się moja pierwsza „biała plama”, jeżeli chodzi o wspomnienia obozowe. Nie pamiętam zupełnie tych świąt. Z literatury obozowej dowiedziałem się już sporo później, że na tym bloku urządzane były jasełka więźniarskie – opowiadał Zalewski.*

Więźniowie w opowieściach obozowych zwracali uwagę, że inne od wszystkich były Święta Bożego Naro-

dzenia 1944 roku. – *Czuło się jakby lekki powiew wolności. Na kilka dni przed świętami przywieźli do Stutthofu paczki nadesłane od rodzin. Szczęśliwi, którzy je dostali... W bloku B więźniowie ubrali choinkę. Była uboga, ale była... Podczas wieczerzy wigilijnej zebrano od paczkowiczów wiktuały i obdarzono nimi najbiedniejszych, przeważnie Rosjan. Następnie łaliśmy się przysłanym z wolności opłatkiem, również z przedstawicielami innych narodowości. W wielu językach wygłaszano przemówienia, w których podkreślano, że obecne święta są ostatnimi w obozie. Więźniowie, bez względu na narodowość czy wyznanie, uściskali się wzajemnie, życząc sobie szybkiej wolności. Nie było chyba nikogo, komu łza nie spłynęła po policzkach – opisywał Waclaw Mitura, więzień obozu Stutthof.*

Podobnie było w obozie Auschwitz-Birkenau. O północy ks. Władysław Grohs de Rosenburg, za cichą zgodą blokowego i sztabowego, odprawił nawet pasterkę. Z kolei więźniarki Birkenau przygotowały „gwiazdkę” dla dzieci leżących w szpitalu. – *Z dostarczonego im przez więźniarki materiału, uszyły około 200 zabawek. Do każdej dotychczas po dwa kawałki cukru*

lub landrynki. Paczki podpisano imieniem i nazwiskiem dziecka. W Wigilię rozdawała je więźniarka przebrana za św. Mikołaja. Prezenty otrzymało też 15 dzieci z innego bloku – napisano na stronie Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Eugenia Bożena Kaczyńska, więźniarka Auschwitz-Birkenau opowiada, że w Wigilię 1944 roku kolędę „Cicha noc” śpiewała cała fabryczna hala w różnych językach. – *Ktoś zanucił kolędę. Nie zaśpiewał, lecz tylko zanucił. Nam nie wolno śpiewać, to z pewnością jedna z więźniarek niemieckich zanuciła: Stille Nacht, heilige Nacht!... Cicha noc, święta noc... I wtedy, cała fabryczna hala zabrzmiała zgodnym chórem. Ta sama melodia różnymi językami świata. I wtedy, okazało się, że jest to międzynarodowa kolęda. Tylko rosyjskie kobiety nie znały melodii tej kolędy, ale jaki one mają słuch! Zaraz wtórowały! Cicha noc, święta noc... Wielonarodowy, wielojęzyczny chór więźniarek dociera do bram Niebios, oznajmiając narodziny Bożego Dzieciątka, a w fabrycznej hali nadal produkuje się tysiące śmierci – opisywała Kaczyńska.*

Wśród więźniów obozów znajdowały się osoby uzdolnione artystycznie, które tworzyły przy okazji świąt Bożego Narodzenia sztuki, pisały kolędy, malowały kartki świąteczne.

Zofia Pociłowska-Kann, polska więźniarka niemieckiego obozu koncentracyjnego Ravensbrueck, napisała sztukę „Noc wigilijna”. Jej koleżanki, współwięźniarki w obozie, utwór odczytały z podziałem na role w wigilijny wieczór 1942 roku. Tekst zachował się, został odnaleziony w 2005 roku po śmierci jednej z więźniarek. – *Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi. Wszystkim umęczonym nadzieję przynosi. Bo my nadzieję żyjemy, że wolnymi też będziemy – głosi fragment kolędy stutthowskiej napisanej w obozie przez nieznaną więźniarkę.* ■



Nadzieja za kratami



FOT. UDSKIOR

„Nikt z nas nie chciał poddać się reżimowi zakładu karnego” – opowiada Andrzej Drzycimski, historyk, dziennikarz, członek NSZZ „Solidarność”, internowany w Strzebielinku.

Gdzie zastał Pana 13 grudnia 1981 roku?

W nocy z soboty na niedzielę 13 grudnia zmęczony wróciłem do domu. Przez dwa dni jako dziennikarz przysłuchiwałem się posiedzeniu Komisji Krajowej Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Sali BHP Stoczni Gdańskiej. W domu dzieci spały, czekała żona. Gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki, obudził mnie dzwonek do drzwi. – Milicja! – usłyszałem. Przez wziernik zobaczyłem trzech uzbrojonych mundurowych i jednego cywila. Nie chciałem otworzyć, więc zagrożono wyważeniem drzwi. Wpadli do przedpokoju i ciasno mnie otoczyli. Zażądałem nakazu aresztowania.

W odpowiedzi cywil stwierdził, że zostałem internowany. Wręczył mi jakiś nakaz zatrzymania i doprowadzenia, bez dat. Wpisał dopiero po mojej uwadze. Wziąłem szczoteczkę i pastę do zębów. Udało mi się jeszcze niepostrzeżenie do kieszeni wsunąć zegarek. Zjeżdżając windą, usłyszałem: „obraczka się wam już nie przyda”. Wróciliśmy. Pamiętam, że mocno zdezorientowanej żonie powiedziałem, że będzie lepiej, gdy pamiątkowa obrączka pozostanie w domu.

Czy spodziewał się Pan najgorszego scenariusza?

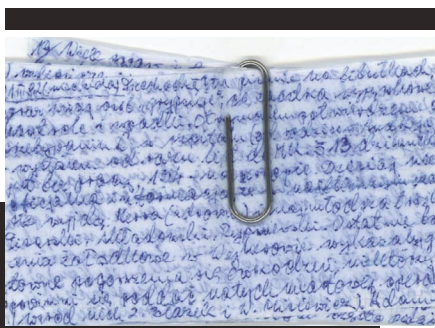
Tak. W zimnej Nysce więźli mnie samego. Jechaliśmy przez miasto. Po drodze minęliśmy siedzibę regionu,

gdzie było niebiesko od milicjantów. Zjechaliśmy na obwodnicę trójmiejską i dalej na północ. Myślałem, że jedziemy do Gdyni, ale minęliśmy ją i okazało się, że kierujemy się do Wejherowa. Na trasie mignęła mi nazwa Piaśnica, miejsce masowych egzekucji Polaków jesienią 1939 roku. Zaraz potem wjechaliśmy w las. Nagle stanęliśmy. Kazano mi wysiąść. Ciszą, piękny zimowy las, lśniący śnieg. Stoję w świetle reflektorów, a kilka kroków za mną milicjanci coś ustalają. Przez głowę przeleciał mi cały film życia. Wewnętrzna modlitwa. Czekałem, kiedy to nastąpi. Nagle słyszę komendę: pchać. Okazało się, że Nyska zakopała się w śniegu i trzeba było ją wypchnąć na drogę.... Wtedy przekro-

czyłem jakiś próg. Przystałem się ostatecznie bać.

Jakie było pierwsze wrażenia po dotarciu do celi?

Po prawie dwóch godzinach błądzenia w końcu podjechaliśmy pod wysoki mur z szyldem: Zakład Karny w Wejherowie – Oddział Zewnętrzny Strzebielinek, gdzie dla więźniów politycznych opróżniono dwa pawilony, czyli 24 cele. Gdy wszedłem na dyżurkę, zobaczyłem same znajome twarze, m.in. aktorów Halinę Winiarską i Jurka Kiszkiśa oraz Joannę Wojciechowicz i kolegów, z którymi parę godzin wcześniej rozmawiałem w Stoczni Gdańskiej. Zrobiono zdjęcia mojej twarzy z trzech stron, zdjęto odciski palców i obu dłoni. Potem zabrano do gabinetu pseudolekarskiego. Po krótkiej odprawie zostałem zaprowadzony do 16-osobowej celi, która szybko się zaludniła. Do wieczora był komplet. Pamiętam swój pierwszy posiłek w południe. Najpierw herbatę, czyli zabarwiona woda, a potem grochówka, którą od razu nazwaliśmy betonem. Łyżka w niej sterczała jak pręt... Dopiero trzeciego dnia pozwolono nam napisać listy do najbliższych, którzy nie wiedzieli, gdzie jesteśmy.



Zresztą wszystkie listy od i do nas przechodziły przez cenzurę. Zamazywano nawet niewinne sformułowania dziecka...

Jak wyglądały pierwsze dni w więzieniu?

Wszystkie cele były zakratowane, zimne i przepelnione. W kącie stała muszla klozetowa, odgradzona parawanem. Pierwsze wieczory zeszyły nam na urządzaniu cel. W naszej celi z odcieranych listew od stołu zbiliśmy krzyż. Chrystusa upletliśmy ze sznura konopnego, który wzięliśmy z przesłanych paczek. Poniżej przymocowaliśmy zdjęcie naszego papieża. Pod krzyżem na ścianie umocowaliśmy wymalowaną naszą flagę z kawałkiem kiru. Bardzo szybko zaczęły się rodzić plany omińnięcia więziennych rygorów, uzyskania możliwości kontaktowania się z innymi celami, zorganizowania sobie życia możliwie najbardziej wolnego. Błyskawicznie została sporządzona lista naszych żądań i dostarczona do komendanta obozu. Nikt z nas nie chciał poddać się reżimowi zakładu karnego.

Czy pamięta Pan pierwsze spotkanie z najbliższymi podczas internowania?

Najtrudniejsze chyba były odwiedziny rodziców. Najbardziej dramatyczną rozmowę miałem z mamą, która poprosiła mnie, abym zrobił wszystko, by wyjść z więzienia. Rodzice mieli za sobą dramatyczne przeżycia z czasu wojny. Oboje przed wybuchem wojny mieszkali i pracowali w Gdyni. Ojciec był państwowym urzędnikiem, mama z racji bieglej znajomości francuskiego i niemieckiego pracowała w międzynarodowej centrali telefonicznej. Po wybuchu wojny ojciec został zabrany do przejściowego obozu w Redłowie, skąd następnie wysyłano go do Stutthofu. Ojca wtedy uratowała mama, która udawała ciężarną i zdołała jakoś wyjednać jego uwolnienie.

W październiku 1939 roku rodzice zostali brutalnie wysiedleni. Udali się do Różanny na Pomorzu, rodzinnej wsi ojca, gdzie zresztą schroniła się większa część rodziny. Pod koniec wojny front przewalał się tamtędy parokrotnie. Omal wszyscy nie zostali rozstrzelani przez czerwoarmistów z racji kenkarty dziadka, które Niemcy wydawały mieszkańcom wcielonym do Rzeszy. Na szczęście oficer jakoś doczytał się polskiego pochodzenia w sformułowaniu „polnisch” w kenkarcie.

Ile czasu funkcjonował Ośrodek Odosobnienia dla Internowanych w Strzebielinku?

Od 13 grudnia 1981 roku do 23 grudnia następnego roku. W grudniu internowano tu większość działaczy z Trójmiasta i okolic, także ze Słupska, w tym członków Komisji Krajowej, doradców związku zatrzymanych w Trójmieście. Nasz obóz szybko stał się jednym z największych i najdłużej funkcjonujących. Przez rok, w miejsce zwalnianych lub wywożonych do innych obozów, do Strzebielinka przetrzucano internowanych z innych ośrodków. Po czterech miesiącach dotarł do nas duży transport z obozu w Potulicach, gdzie siedzieli działacze regionu toruńsko-bydgoskiego. W połowie roku 1982 przywieziono kolegów z regionu zachodniopomorskiego, a pod koniec sierpnia z warszawskiej Białoleki. Dowożono nie tylko z Trójmiasta, Torunia, Nysy, Wadowic czy Zielonej Góry, ale z całej Polski. W sumie przez Strzebielinek przeszło 501 osób. Pierwszym internowanym był Lech Kaczyński, zaś ostatnim, który opuścił ośrodek był Józef Taran.

Wiedzieliście kto z wami siedzi?

Pierwsze zadanie, jakie sobie postawiliśmy, było zrobienie spisu wszystkich zamkniętych w Strzebielinku. Dzięki kontaktom na spacerach, przez judasza czy grypsom zostawianym na spacerniku bądź wrzucanym przez okna,

w krótkim czasie zorientowaliśmy się kto z nami siedzi. W grudniu naliczyliśmy ponad 200 osób. W krótkim czasie powstał dość dokładny spis, który został przemycony na zewnątrz. Nazwiska naszych kolegów pojawiły się na transparentach w trakcie manifestacji antyrządowych, także na Zachodzie. Powodzenie tej akcji zachęciło nas do sporządzania szczegółowego wykazu internowanych i stałego rejestrowania zmian w stanie obozu.

Kto był zwierzchnikiem w obozie?

Formalnie władzę nad nami miał komendant zakładu karnego mjr Franciszek Kaczmarek. Jednak faktyczną władzę dzierżył zakompleksiały ubek, pełnomocnik ds. internowanych komendanta wojewódzkiego MO, kpt. Eugeniusz Maciuk. Znali go świetnie koledzy z Ruchu Młodej Polski, którym przeprowadzał rewizje w mieszkaniach. Dozór pełnili strażnicy więzienni, klawisze, którzy pilnowali nas w celach i na tzw. kogutach, ale nie na dziedzińcu. Tam rządzą zomowcy, którzy według własnego uznania skracali nam czas przysługującego spaceru. Zomowcy bardzo lubili podkreślać swoją nadrzędność. Tak było w przypadku jednego z naszych „małolatów”, czyli 17-latka. Na spacerze podszedł do okna jednej z cel. Odpędzany przez zomowców, nie usłuchał. Doszło do spięcia, trafił do izolatki. Najpierw protest podniosły cele jego pawilonu, potem cały obóz, waląc w drzwi i kraty czym się dało. Trwało to godzinę, drugą, z piętnastominutowymi przerwami. Na korytarze pawilonów wpuszczono uzbrojonych zomowców. Starcie było na wyciągnięcie ręki. Potem sytuacja się powtórzyła, gdy podczas spaceru zażądaliśmy otwarcia cel. Od razu wszedł uzbrojony oddział, ale nie doszło do konfrontacji. Podczas kolejnej miesięcznicy wprowadzenia stanu wojennego śpiewaliśmy w oknach, wywiesiliśmy flagę narodową, głosiliśmy hasła solidarnościowe. Tym

razem pacyfikacją miała się zająć specjalna grupa uderzeniowa strażników więziennych z Wejherowa. W mundurach szturmowych, kaskach z przyłbicą i gumowymi pałkami wpuszczono ich na dziedzińiec. W ostatniej chwili akcję wstrzymano.

Jakie były wasze główne żądania?

Sprowadzały się głównie do określenia naszego statusu prawnego, spraw socjalnych, sanitarno-higienicznych i opieki duszpasterskiej. Wszystko trzeba było wrywać. Spełnieniem jednego z naszych postulatów był przyjazd księdza. Dzień przed Wigilią przywieziono ks. Tadeusza Błońskiego, proboszcza parafii garnizonowej w Gdańsku. Jego sytuacja była niełatwa. Po obu stronach panowała głęboka nieufność podsycana przez ubeków. W celach, które po kolei odwiedzał, żądano od niego dokumentu kościelnego. Zapowiedział, że przyjedzie w Wigilię i odprawi mszę. Zostawił opłatki. Jak powiedział, tak uczynił. Przyjechał następnego dnia. Jego pierwsza msza św. była przejmująca, ponieważ zgodnie z zaleceniem biskupa gdańskiego odprawił ją z absolutionem generalnym. Wszyscy dostaliśmy rozgrzeszenie, byśmy mogli przyjąć komunię. Pamiętam, że dla nas osadzonych było to wstrząsające przeżycie.

Nie tylko Wigilię udało się wam zorganizować.

Były też rekolekcje wielkopostne, które prowadził późniejszy arcybiskup warmiński Edmund Piszcz. Tuż po tym koledzy wpadli na pomysł odtworzenia Męki Pańskiej w formie krzyża. Dostali od więźniów dwa pnie, połączyli je i wyszedł z tego prawie trzy-metrowy krzyż z przebitą białą szatą. Chciano nam go zlikwidować, ale akurat tego dnia przyjechał biskup pomocniczy gnieźnieński Jan Nowak. Szybko poprosiliśmy go, aby pobłogosławił krzyż. My z kolei stanęliśmy po drugiej stronie i wpisaliśmy swoje na-



zwiska oraz datę 10 kwietnia 1982 roku. Po rozwiązaniu ośrodka internowania, krzyż zniknął, ale później się odnalazł.

W jaki sposób?

Okazało się, że jeden ze strażników zdemontowany krzyż przerzucił przez płot i ponad 20 lat trzymał w stodole. Za namową miejscowego księdza przekazał kościołowi parafialnemu pw. św. Józefa Robotnika w Gniewinie, na którego terenie znajdował się obóz. W kolejne rocznice wprowadzenia stanu wojennego wystawiany jest podczas mszy, na której gromadzą się byli internowani i okoliczni mieszkańcy.

W tym też kościele wisi wasza Madonna Strzebielińska...

Tak. Antoni Szymkowski, konserwator zabytków z UMK w Toruniu, podjął się namalowania obozowej repliki obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej,

z okazji jego 600-lecia obecności na Jasnej Górze. Pierwowzorem było duże zdjęcie oblicza Czarnej Madonny z autografem ks. prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego, znajdujące się w kaplicy obozowej. Ściągnięto sztalugi, na ramy naciągnięto płótno, zabezpieczono i ugruntowywano. Odwozowanie trwało kilkanaście dni. Docelowo obraz miał zostać przekazany do kościoła Mariackiego w Toruniu. Jednak w czasie wizyty bpa Edmunda Piszczka z Pelplina w obozie 9 maja 1982 roku przekonał on Antoniego i kolegów z Torunia o potrzebie pozostawienia obrazu w Strzebielinku.

Był to chyba pierwszy i jedyny przypadek w Polsce odbycia uroczystej procesji z aż czterema stacjami w „pudle”, która miała miejsce po mszy św. 10 czerwca 1982 roku. Trasa prowadziła wokół spacerniaka poprzez cztery ołtarze-stacje. Przygotował je wcześniej wspomniany Antoni Szymkowski i artyści malarze Andrzej Trzaska i Marek Sobociński. Stały one kolejno – przy wejściu do IV pawilonu, przy hydroforni, przy bramie wjazdowej do obozu i przy II pawilonie. Nie wszyscy mogli uczestniczyć w uroczystościach, bo ubecki pełnomocnik kpt. Eugeniusz Maciuk pozamykał prze-

koncerty na powitanie odwiedzających nas rodzin. Organizowano wieczory poetyckie. W celi konspiracyjnie nagrywano piosenki, wykonywane przez Zbigniewa Iwanowa, Zdzisława Dumowskiego, Lecha Różańskiego i Antoniego Filipkowskiego, później nadawane na Zachodzie. Nie ustawaliśmy w aktywności fizycznej, we wrześniu odbyła się Spartakiada Strzebielińska. Andrzej Trzaska rysował portrety i obrazy z życia codziennego, zaś Henryk Majewski i Stanisław Śmigiel, niezależnie od siebie, zorganizowali przemyty aparatów fotograficznych, jednym z nich Lech Różański utrwalił życie codzienne internowanych. Prawie każda celda produkowała znaczki i stemple poczty podziemnej. Ogłaszaliśmy apele i oświadczenia oraz wydawaliśmy ulotki.

Założyliście Stowarzyszenie „Strzebielinek”...

W 2014 roku zorganizowaliśmy duży nasz zjazd, przyjechali koledzy z całego świata, na murze więziennym zawiesiliśmy tablicę pamiątkową. Uznaliśmy, że trzeba coś zrobić, by opowiedzieć naszą historię. Po dyskusjach w 2017 roku powołaaliśmy Stowarzyszenie „Strzebielinek”. Chcemy, aby ten dramatyczny czas stanu wojennego nie został zapomniany. Co roku w Gniewinie organizujemy zjazd Strzebielinkowców. Ale nie tylko. Naszym celem jest inspirowanie i propagowanie polskiego patriotyzmu, prowadzenie działań i akcji o charakterze patriotycznym i narodowym oraz promowanie walki Narodu Polskiego o wolność, solidarność i niepodległość.

rozmawiała

Dorota Gałaszewska-Chilczuk



W lipcu 1982 roku Antoni Szymkowski wraz z kolegami z Torunia prosili ks. kapelana obozowego Tadeusza Błońskiego, by obraz przekazał do Torunia. Władze obozowe nie wyraziły jednak zgody na wyniesienie obrazu z kaplicy strzebielińskiej. W tej sytuacji Antoni Szymkowski obraz przekazał ks. Tadeuszowi Błońskiemu. Obraz, nazwany przez internowanych Madonną Strzebielińską, pozostawał w kaplicy aż do końca funkcjonowania obozu.

Walcząc o swoje prawa, doprowadziliście do tego, że w Strzebielinku odbyła się procesja Bożego Ciała.

ścia między pawilonami. Wcześniej, przed mszą, przez godzinę jeździł z naszym kapelanem po okolicznych parafiach w poszukiwaniu potrzebnej na procesję obozową monstrancji.

Jak walczyliście z więzienną rutyną?

Zorganizowaliśmy we własnym gronie „uniwersytet obozowy”, kierowany przez Stanisława Śmigła. Rozwinęły się kursy językowe i wykłady prowadzone przez Antoniego Stawikowskiego, Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Trzaskę, Arama Rybickiego i innych. W celach były zakładane chóry, dające

Wszystkie ilustracje w tekście pochodzą z prywatnego archiwum Andrzeja Drzycimskiego



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE DARIU RADECKIEJ-MARZEC

TEKST | Daria Radecka-Marzec

Strzebielinek – z drugiej strony muru

To truizm, ale stan wojenny zaskoczył wszystkich. W 1981 roku byłam dzieckiem i chciałam zrozumieć, co się dzieje. Czy to wydarzenie jest ważne? O czym mówi Jaruzelski? Pierwsze skojarzenia były z wojną. Kto nas zaatakował? Nikt. My kogoś?! Okazało się, że do tej wojny nie potrzebowaliśmy wroga – sami stanęliśmy po przeciwnych stronach barykady.

Z perspektywy dziecka – zaskoczenie. Wojna bez najazdu. Minęło kilkadziesiąt lat, kiedy w 2013 roku gdański oddział IPN ogłosił konkurs dla szkół „Ślady historii w mojej miejscowości” i moja córka – wtedy szóstoklasistka – podjęła decyzję, że napisze o wujku, który był internowany w Strzebielinku (Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych, który funkcjonował od 13 grudnia 1981 roku do 23 grudnia 1982 roku w ZK

w Strzebielinku nieopodal Wejherowa). I znowu pada pytanie: Kto nas zaatakował? Kto przetrzymywał ludzi w obozach? Bez wyroków?! Jak to – nie najeźdźcy?!

Niby wszystko jest jasne, nie ma już żadnych tajemnic, ale dla dziecka z szóstej klasy – zagadka. Program na lekcjach historii do XX wieku jeszcze nie dotarł, a w domu wydawało się, że to jedna z tych spraw, które są tak oczywiste, że nie trzeba o nich mówić.

Przypomniałam sobie jak wujek miał nas odwiedzić pierwszy raz po internowaniu. Wiadomo było, że wszystkie sprawy związane z polityką wymagają dyskrecji. „Solidarność”, Strzebielinek, stan wojenny – to nie były tematy swobodnych rozmów. Nie rozmawialiśmy o tym także przy najmłodszej siostrze, żeby czegoś „nie chlapanęła” w przedszkolu.

Przyjechali goście. Rodzina była duża, gwar, śmiechy, powitania i uściski. Wujek do tej pory był duszą towarzystwa. Teraz przemknął bokiem, minął wszystkich i usiadł na kanapie. Zobaczyłam, że zapuścił brodę. Wszyscy jeszcze są zajęci w przedpokojach. Moja mała siostra podchodzi do niego, wdrapuje mu się na kolana, patrzy przez chwilę w oczy i mówi cichutko: „Co oni Ci zrobili?”. I cisza. Żadnej odpowiedzi. Wtedy wszyscy byliśmy cie-

skiwala niepodległość. Tyle ciekawych rzeczy dookoła. Przeszłość już nikogo nie interesowała, dlatego tak ważne było, żeby wrócić do tej historii.

Później rozmawiałam o tym z ciotką. W latach osiemdziesiątych nikt u nas nie wiedział, co to jest stres pourazowy. Nie było powszechnej świadomości potrzeby korzystania ze wsparcia psychologicznego, czy psychiatrycznego w trudnych życiowych sytuacjach. Ludzie wracali do domów z odosobnienia i nikt nie wiedział, jak poradzić sobie z emocjami, jak rozmawiać, gdzie szukać pomocy. Było trudno. Po latach z ciotką i wujkiem rozmawiała też moja córka.

Karolina Marzec – *Zabrali Cię z domu czy z pracy?*

Jan Skiba – *Z domu.*

Balbina Skiba – *Kiedy przyszli po Ciebie, byłeś w kościele św. Brygidy. Jak wróciłeś, powiedziałam Ci, że byli po Ciebie, żebyś gdzieś się schował. Zastanawiałeś się, gdzie masz iść, gdzie masz się schować. W tym czasie wrócili. To była niedziela.*

K.M. – *Jak to wygląda w Twoich dokumentach?*

J.S. – *Są rozbieżności w datach, dlatego że zapisywali datę wydania decyzji, a nie datę zatrzymania.*

K.M. – *Decyzja jest wcześniejsza?*

J.S. – *Nie. Późniejsza. Najpierw było zatrzymanie, później decyzja o nim.*

K.M. – *Mogli Cię zatrzymać bez nakazu?*

J.S. – *Kwity mieli przy sobie, jak ktoś żądał, wypisywali na miejscu. Zabrali mnie wtedy na Białą (Posterunek MO we Wrzeszczu).*

B.S. – *Jak cię zabierali, byli z karabinami, tak jak wcześniej w czasie kilku rewizji. To było ZOMO. Niektórzy z nich nawet pisać nie umieli porządnie.*

J.S. – *Ale niektórzy byli w porządku, to trzeba przyznać.*

B.S. – *Ten, który robił rewizję u Kubry (u syna), powiedział mi, gdy byliśmy sami: Dlaczego Pani mąż wrócił?! Teraz musimy go zamknąć. Najlepiej by*

było, gdyby nie wrócił. – Dlaczego Wy wróciliście – odpowiedziałam. Stali za rogiem, człowiek się nie zdążył zastanowić, a już byli. Zabrali go i nie wiedziałam, gdzie jest.

K.M. – *Nie wiedziałas, gdzie jest wujek?*

B.S. – *Nie, nie wiedziałam, chyba trzy dni go szukałam, przez jakiegoś księdza się dowiedziałam, gdzie jest. Byłam wtedy po operacji, właściwie ledwo się trzymałam na nogach. Po tygodniu pojechałam go odwiedzić. Nie mogliśmy trafić, bo to wszystko w lasach jest. Nie można było znaleźć tej miejscowości.*

K.M. – *Zresztą do dzisiaj starsi mieszkańcy mówią na tę miejscowość „X”, a w pobliżu, oprócz miejscowości Strzebielinek, są też miejscowości Strzebielinko i Strzebielino Morskie.*

B.S. – *Pierwsze widzenie miałam w październiku – widzenia były na początku dość rzadko, chyba raz w miesiącu. Raz było tak, że nie chcieli mnie wpuścić, bo widzenia „zabrali” bracia Jasia. Poszłam wtedy do komendanta i byłam tak roztrzęsiona, że zaczęłam płakać. Zgodził się na widzenie specjalne. A kiedy wrócił do domu, był chory. Miał dziwne oczy, schodziła mu skóra. Było ciężko.*

O Strzebielinku rozmawialiśmy z kilkoma innymi osobami. Według (nieżyjącego już) abp. Edmunda Piszczaka, księży byli dla internowanych oknem na świat. W rozmowie przeprowadzonej w Kuźnicy, 22 kwietnia 2014 roku, wspominał: Stan wojenny zastał mnie w Pelplinie. Początkowo nikt z nas nie wiedział, co to jest stan wojenny, na czym polega internowanie, no i oczywiście – gdzie jest Strzebielinek. Wiedzieliśmy tylko, że to niedaleko Wejherowa, ale w tamtej okolicy znajdują się trzy miejscowości o podobnej nazwie. Jednak już wkrótce mieliśmy pełne listy internowanych wraz z adresami ich rodzin, sporządzone oczywiście przez samych osadzonych. Jednym z problemów, z któ-

rymi borykali się internowani, był brak podstawowych artykułów spożywczych i higienicznych. W początkowym okresie internowanym brakowało niemal wszystkiego – od mydła i papieru toaletowego począwszy, na żywności kończąc, więc kiedy do diecezji zaczęły przychodzić transporty z darami z Europy Zachodniej, można było dostarczać również do obozu najpotrzebniejsze rzeczy.

Pamiętam też, że przed Wielkanocą 1982 roku Strzebielinkowcy napisali do biskupa Mariana Przykuckiego list z prośbą o rekolekcje. Zostałem wyznaczony do ich przeprowadzenia i udałem się do Strzebielinka. Moja wizyta rozpoczęła się od rozmowy z władzami obozu, ostrzeżono mnie, żebym niczego stamtąd nie wynosił. Duże wrażenie zrobiły na mnie wystrój kaplicy i przygotowany ołtarz. Internowanych podzielono na trzy grupy, pilnując, by nie dochodziło do spotkań między nimi. Wyglądało to niemal zabawnie, gdy pojawiał się strażnik, który salutując pytał: „Czy doprowadzić II grupę do rekolekcji?”.

Oczywiście wszyscy wykorzystywali okazje do przekazania wiadomości rodzinom. W czasie spowiedzi (a było trzech spowiedników) odbieraliśmy listy i chowaliśmy je za pazuchą. Zastanawiałem się, jak wynieść korespondencję i rolki z filmami, które nielegalnie robiono w obozie. Przydatna okazała się walizka z szatami liturgicznymi. Przed wyjściem z obozu mieliśmy jeszcze krótkie formalne spotkanie z władzami ośrodka. Obawialiśmy się wchodzić na nie z nielegalnymi materiałami, tym bardziej, że było ich dość dużo. Wpadliśmy na pomysł, aby listy i rolki z filmami ukryć we wspomnianej walizce. Zanim weszliśmy do gabinetu, jeden z księży postawił walizkę w dyżurce i powiedział zdecydowanym głosem do strażnika: „Niech pan pilnuje tej walizki!”. W ten sposób weszliśmy bezpiecznie do gabinetu.

OdwiŹdziłem teŹ internowanych, ktorŹch leczono w wejherowskim szpitalu. ZauwaŹyłem, Źe personel był do nich pozytywnie nastawiony, rodzinom łatwiej było kontaktować się z tymi, ktorzy się tam znajdowali, ogólnie rzecz biorąc – internowani pacjenci znajdowali się w lepszej sytuacji.

ZauwaŹyłem, Źe młodzi, a było ich tam kilku poniŹej dwudziestego roku Źycia, byli w gorszej kondycji, jakby przytłoczeni tą sytuacją. Starsi bardziej okrzepli, byli pewni, Źe zwycięstwo jest po ich stronie. Podziwiałem ich za odwagę. Nie obawiali się na przykład – zasłonić „judasza” w drzwiach celi, gdy u nich byłem, nawet w obozie demonstrowali swoje poglądy. Udowodnili, Źe Polska nie była dla nich pustym słowem.

Dotarliśmy teŹ do Pani Danuty Miściur – stomatolog z Gniewina, która leczyła internowanych. W Gdyni 25 kwietnia 2014 roku opowiadała o tym, jak wspomina tamten czas.

Pamiętam, Źe internowani przyjeŹdzali do gabinetu dwa razy w tygodniu – we wtorki i w czwartki. Początkowo był to gabinet w hotelu robotniczym w Nadolu, później w przychodni w Gniewinie. Całość robiła wrażenie: dwóch, trzech internowanych w asyście pięciu uzbrojonych strażników. W czasie pierwszej wizyty strażnik próbował pozostać w gabinecie, ale wyprosiłam go stanowczym pytaniem: „Pana zęby bolą? Jeśli, nie – będzie pan czekał w poczekalni!”. WraŹliwość strażników miała okazję zaprezentować się w pełnej krasie, gdy pewnego razu przyszła do gabinetu matka z dzieckiem, które bolał ząb. Panowie oddalili się pośpiesznie, gdyż ewentualny płacz dziecka na fotelu dentystycznym był dla nich nie do zniesienia...

Pacjenci trafiali się różni, jedni z bólem, inni do leczenia, a jeszcze inni po prostu potrzebowali wyjścia poza mur. Większość miała wiadomości dla rodzin. Flancowałyśmy je z siostrą po

Oliwie, Redłowie i okolicy. Rodziny cieszyły się, matki pytały, jak wyglądają synowie. Internowani potrzebowali chosnku, ciepłych skarpet i ... gumowych obcasów. Dwie pierwsze rzeczy dlatego, Źe w obozie było bardzo zimno i z tego powodu często zapadali na zdrowiu. Kiedyś poczęstowałam ich nowalijkami, spotkało się to ze zdecydowanym komentarzem strażnika: „Oni tam mają co Źreć!”. Swoistym paradoksem było to, Źe ciepłe skarpety zdobywałyśmy z drugiej strony barykady – od marynarzy i żołnierzy (były świetnej jakości), robiliśmy je teŹ same z owczej wełny, co spotkało się z ciekawym komentarzem

Miałem zwyczaj słuchania wiadomości radiowych o szóstej rano, więc pamiętam doskonale, jak generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Powtórzyłem tę smutną informację w ogłoszeniach parafialnych i wszyscy płakaliśmy. Wtedy juŹ od dłuższego czasu odprawiałem Mszę świętą dla skazanych w Strzebielinku, więc i w niedzielę 13 grudnia – jak zwykle – pojechałem tam przed godziną 16, jednak dowiedziałem się, Źe więźniowie są wywożeni do Wejherowa, a przywożeni są ludzie „Solidarności”. Mszy świętej juŹ nie było.

Pojawiło się pytanie – kto będzie odprawiał Mszę św. w Strzebielinku?



Przez rok funkcjonowania obozu poddano odosobnieniu 491 internowanych. Ideę spotkań rozwinął Komitet organizacyjny Zjazdu reprezentowany przez Andrzeja Drzycimskiego, Jana Skibę i Andrzeja Rzeczyckiego. Fotografia z tegorocznego zjazdu, Strzebielinek, 18 sierpnia 2024 r. FOT. UDSKIOR

pewnej znajomej: „robisz skarpety tym przestępcom?!”. A na co gumowe obcasy? Wiadomo – do wyrobu stempli i pieczętek!

Muszę powiedzieć, Źe internowani nie uŹalali się nad sobą, potrafili Źartować z sytuacji, z siebie. Nie poddawali się. Byli twardzi.

Swoimi wspomnieniami podzielił się teŹ ks. Jan Wszolek – ówczesny proboszcz pobliskiej parafii (pw. św. Józefa w Gniewinie), który 6 maja 2014 roku przebywał w Darłówku.

Władze obozu zdecydowały, Źe w najbliższej przyszłości będzie za to odpowiedzialny ksiądz z Gdańska. Wiem, Źe robił to w każdą niedzielę.

Do Strzebielinka jeŹdziłem z ogromną radością, czułem się tam potrzebny jako ksiądz. Nie mogłem pominąć ośrodek, gdy święciłem pokarm w Wielką Sobotę, a w BoŹe Ciało poŹyczyłem im monstrancję (pamiętam, Źe działało się to w wielkim pośpiechu), gdyż odbyła się tam procesja do czterech ołtarzy. Osadzeni byli bardzo wdzięczni za wszystko.



Ośrodek Odosobnienia dla Internowanych w Strzebielinku w roku 1982 i obecnie
 FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA DRZYCIMSKIEGO
 I DARIII RADECKIEJ-MARZEC

Udało się nam porozmawiać także z reprezentantem drugiej strony, 27 czerwca 2014 roku, w Strzebielinku swoimi wspomnieniami podzielił się strażnik, który wystąpił pod pseudonimem Laufer, zastrzegając sobie anonimowość.

Pamiętam doskonale, że 13 grudnia miałem nocną służbę na bramie. Nie byliśmy w ogóle przygotowani do tego, co ma się wydarzyć. Nikt nam niczego wcześniej nie mówił. Około godziny 23.00 (12 grudnia 1981 roku) przyjechał – nieznanym mi wcześniej – oficer SB, kpt. Maciuk. Wylegitymował się i zażądał, aby wpuścić go do gabinetu komendanta, majora Kaczmarka. Byłem zaskoczony, zadzwoniłem do komendanta z pytaniem, co robić. Ten wydawał się być równie zdziwiony jak ja. Poleciał wpuścić go do swojego gabinetu.

Pojawiały się pierwsze samochody. Przyjmowałem ludzi w tę noc. Skazanych do samochodów, internowanych do cel. Masa ludzi. Panika. Przywozili internowanych i wywozili więźniów (do aresztu w Wejherowie i Gdańsku), aby opróżnić cele dla nowych przybyszów. Nikt nam nie powie-

dział, co to znaczy „internowany”, jak się do tych osób odnosić. Nad ranem zaczęli przywozić kobiety. Bały się. Nie mieliśmy funkcjonariuszek, które mogłyby się nimi zająć (np. zrewidować), musieliśmy wezwać je z Zakładu Karnego w Wejherowie.

Dopiero rano – z telewizji – dowiedziałem się, że General ogłosił stan wojenny. Zostaliśmy skoszarowani. Przez najbliższe trzy miesiące nie opuszczaliśmy ośrodka, mimo że mieszkaliśmy tuż za murem.

14 grudnia przyjechał pluton ZOMO, którego zadaniem było pilnowanie obiektu. To tylko wzmogło panikę i lęk. Zastrzeżliśmy sobie, że ZOMO działała na zewnątrz budynków, a my w pawilonach. Byliśmy tam gospodarzami.

Nie wiedzieliśmy, jak traktować internowanych, przecież nie byli skazani. Mieliśmy świadomość, że to ludzie bez wyroków. Już na początku mieli prawo do spacerów, chociaż było wtedy bardzo zimno. Po miesiącu zaczęli walczyć o otwarcie cel. Maciuk się zgadzał. Wszyscy podeszli pod wewnętrzną bramę w pawilonie i zagrozili, że nie odejdą, dopóki nie dostaną

gwarancji, że cele będą otwarte. Wyszło ZOMO, gotowe do konfrontacji. Pamiętam, że sytuację opanował wtedy Jacek Kuroń. Było widać, że on ma doświadczenie w życiu więziennym. Internowani postawili na swoim. Cele zostały otwarte, mogli się swobodnie przemieszczać, początkowo w obrębie pawilonu, a wkrótce kraty między pawilonami też otwarto.

Z czasem robiło się coraz swobodniej. Odwiedzali ich księża, biskupi, otrzymywali paczki. Międzynarodowy Czerwony Krzyż jeszcze zimą przysłał koce. Pamiętam, że mieli taki zwyczaj, że wieczorem tłukli metalowymi miskami w kraty okienne. Huk był niesamowity, ale nikt im w tym nie przeszkadzał. Trzeba jednak pamiętać, że w tej codzienności obozowej aktywny był oficer SB, którego praca polegała na tym, że wytrwale wzywał ludzi, rozmawiał z nimi i namawiał do podpisania „lojalki”.

Później zaczęli ich wypuszczać. Nie wiem z jakiego powodu, ale stoczniovców trzymali chyba najdłużej. W grudniu 1982 roku wypuścili wszystkich. I tu pojawia się pewien paradoks: na miejsce internowanych nie wrócili więźniowie, więc dla nas – strażników – to była życiowa kłeska: wkrótce zwolniono nas z pracy.

Po 1999 roku mieszkałam w gminie Gniewino, niedaleko Strzebielinka. Wtedy prawie nikt nie interesował się byłym obozem. Młodzi mieszkańcy nic na ten temat nie wiedzieli i dlatego pomyśleliśmy, że czas to miejsce upamiętnić. Udało się to zrealizować – dziesięć lat temu na murze dawnego obozu znalazły się tablice informacyjne i pamiątkowa, wykonane według projektu Bogdana Pietruszki, z blachy używanej do budowy statków, ze znakiem litery „V” i znanym wszystkim emblematem „Solidarności” oraz przejmującym napisem (autorstwa Andrzeja Drzycimskiego): „Chcieli zabić pamięć. Chcieli zabić nadzieję”. ■

Na nowym froncie walki o Polskę

– działalność społeczna polskiej emigracji wojskowej w Wielkiej Brytanii w pierwszych latach po wojnie



TEKST | Jakub Żak

W rozpoczętej pracy nie możemy ustawać – odwrotnie musimy ją pogłębiać wśród nas samych i rozszerzać na tych, co są obojętni, co wciąż stoją jeszcze na uboczu – pisano w „Orle Białym” 27 stycznia 1951 roku.

Decyzje polityczne podjęte przez Aliantów pod koniec II wojny światowej postawiły setki tysięcy Polaków przed ogromnym dylematem – wracać do nowej Polski czy zdecydować się na emigrację. Decyzję tę musiało podjąć zwłaszcza ćwierć miliona żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, przetransportowanych w pierwszych powojennych latach do Wielkiej Brytanii. Ostatecznie ok. 105 tys. żołnierzy PSZ powróciło do kraju, ponad 23 tys. wyemi-

gowało w różne zakątki świata, reszta pozostała na Wyspach Brytyjskich.

Plany władz polskich na emigracji zakładały jedynie czasowe pozostanie na wychodźstwie – liczone na zmianę układu sił, możliwy konflikt Związku Radzieckiego z blokiem zachodnim i odzyskanie kraju. Wydarzenia z końca lat 40. XX wieku, potwierdzające umocnienie się władzy komunistycznej w Polsce, diametralnie zmieniły te założenia. Zamiast czasowego pobytu coraz częściej mówiono o stałym osie-

dleniu się w Wielkiej Brytanii, przy jednoczesnym zachowaniu zwartości polskiej diaspory, krzewieniu polskości i kultywowaniu postaw patriotycznych. Zadania te obrały sobie za cel polskie organizacje społeczne.

Polska emigracja powojenna w Wielkiej Brytanii – struktura społeczna

Dokładne określenie liczby polskich emigrantów wojennych w Wielkiej Brytanii nie należy do najłatwiejszych.

Według różnych danych na początku lat 50. XX wieku na Wyspach Brytyjskich przebywało nieco ponad 160 tys. Polaków, w tym ponad 90 tys. zdemobilizowanych żołnierzy. W kolejnych latach omawianej dekady liczba ta sukcesywnie spadała – powodem była reemigracja do krajów zamorskich, np. Kanady czy Stanów Zjednoczonych, które złagodziły swoją politykę migracyjną, ale także inne procesy, takie jak naturalizacja czy stosunkowo wysoka śmiertelność, spowodowana przeżyciami wojennymi. Według różnych zestawień w okresie 1954–1959 w Wielkiej Brytanii mieszkało między 135 a 142 tys. Polaków.

Największą grupę stanowili byli żołnierze PSZ, następnie członkowie ich rodzin (tzw. dependants – osoby zależne) oraz byli dipisi (od displaced persons – osoby przemieszczone) – pracownicy przymusowi, przesiedleńcy, więźniowie obozów, którzy otrzymali prawo pracy na Wyspach Brytyjskich. Cechą charakterystyczną polskiej emigracji, związaną wprost z jej wojskową naturą, była ogromna dysproporcja płci – prawie trzykrotna przewaga mężczyzn w stosunku do kobiet. Pod koniec lat 50. XX wieku, mimo pewnych ruchów migracyjnych z kraju do Wielkiej Brytanii, odsetek kobiet nadal stanowił ok. 26–27 proc.

Większość społeczności emigracyjnej stanowiły osoby w wieku średnim (40–50 lat), duży procent stanowili odsetek tworzyli także 50 i 60-latkowie. Wynikało to głównie z zaszczości wojennych – średnia wieku żołnierzy w PSZ była zdecydowanie wyższa niż w innych armiach sojuszniczych i wynosiła w czasie wojny ok. 30 lat. Dzieci i młodzież stanowiły ok. 12 proc. diaspy, przy czym zauważalny był niedobór roczników wojennych – dzieci urodzonych w latach 1940–1945.

Centrum osadnictwa polskiego stanowił Londyn. Miasto oferowało pojemny rynek pracy, obecność central polskich organizacji społecznych i politycznych, a także bogate życie towarzyskie i kulturalne Polonii brytyjskiej. W 1950 roku liczba Polaków mieszkających w stolicy Anglii wynosiła ponad 36 tys., ale pod koniec lat 50. spadła do 25 tys. – głównie za sprawą naturalizacji. Inne duże skupiska ludności polskiej w tym okresie to Birmingham, Manchester, Bradford czy Leeds. Trudno określić strukturę społeczno-zawodową polskiej emigracji – pewne dane podsuwają podsumowania działalności Polskiego Korpusu

nadają wielu osobom cel i energię do dalszego działania. Polska emigracja powojenna w Wielkiej Brytanii utworzyła szereg organizacji niepolitycznych, zrzeszających ludzi powiązanych pewnym wspólnym mianownikiem. Znajdowały się wśród nich organizacje społeczne (np. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Związek Inwalidów Wojennych, Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Ziem Wschodnich RP), zawodowe (np. Stowarzyszenie Techników Polskich, Związek Dziennikarzy), religijne (np. Instytut Polski Akcji Katolickiej), naukowe i oświatowe (np. Instytut Polski im. Gen. Sikorskiego, Polska Macierz Szkolna) czy organizacje opiekuńcze (np. Towarzystwo Pomocy Polakom).

Nadrzędną emigracyjną organizacją społeczną lat 40. i 50. XX wieku było Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. Powstało w 1947 roku w celu koordynacji ogółu stosunków społecznych polskiego pochodzenia, zachowania wewnętrznej spójności Polonii i zapobiegania wynarodowienia następnych pokoleń. Cele statutowe Zjednoczenia zakładały obronę praw i interesów społeczeństwa polskiego w Zjednoczonym Królestwie, pomoc dla kraju, wsparcie Polonii w rozwoju i podnoszeniu poziomu materialnego, a także dbałość o kulturę i tradycję. Zjednoczenie zrzeszało kilkadziesiąt organizacji polonijnych (aczkolwiek nie wszystkie – np. bez organizacji religijnych), ale jego rola ograniczała się do koordynowania działalności innych związków i stowarzyszeń.

Działalność społeczna Stowarzyszenia Polskich Kombatantów

Byli żołnierze PSZ chętnie i aktywnie uczestniczyli w życiu społecznym. Było to odskocznią od traumy wojennych lat, swoistym nowym frontem w walce o Polskę, ale także w walce o siebie. Nie jest to bynajmniej przesadne stwierdzenie – polscy kombatanci du-



Przysposobienia i Rozmieszczenia, według którego w początkowym latach po wojnie 80–90 proc. byłych żołnierzy PSZ podjęła pracę jako niewykwalifikowani robotnicy w budownictwie, rolnictwie, przemyśle ciężkim i hotelarstwie. Z czasem ulegało to oczywistym zmianom.

Organizacje polonijne w Wielkiej Brytanii po II wojnie światowej

Naturalnym zjawiskiem społecznym wśród niemal każdej diaspy jest dążenie do zrzeszania się. Tworzenie wspólnych organizacji, przynależność do nich oraz poczucie pewnej sprawczości, podnoszą morale emigracji,

żo częściej zapadali na zaburzenia psychiczne (dzisiaj ujmowane pod nazwą zespołu stresu pourazowego) niż ich aliancy koledzy. Wynikało to z wielu koszmarnych doświadczeń łągrów, obozów, działań frontowych, ale także z poczucia bezradności i przegranej „Sprawy”. Rzucenie się w wir pracy organizacyjnej i pomocowej nadawało wielu byłym żołnierzom prawdziwy sens życia. Największą organizacją społeczną skupiającą polskich weteranów było Stowarzyszenie Polskich Kombatantów – Oddział Wielka Brytania (SPK OWB). Stowarzyszenie powstało na przełomie 1946 i 1947 roku w Londynie. Niedługo później rozpoczęto zakładanie kół SPK w centrach polonijnych Anglii, Walii i Szkocji.

W trakcie pierwszego walnego zjazdu SPK OWB w 1947 roku określono główne obszary pracy oddziału – prowadzenie Ośrodków Kombatantkich, wsparcie opieki społecznej, pozyskiwanie środków na działalność pomocową poprzez prowadzenie przedsiębiorstw i zakładów dochodowych, pomoc dla kombatantów w osiedleniu i zatrudnieniu na terenie Wielkiej Brytanii, prowadzenie Biura Informacji i Porad, a także kierowanie akcją kulturalno-oświatową i wychowawczą.

W celu koordynacji pomocy osobom chorym i potrzebującym utworzony został w ramach SPK OWB Dział Opieki Społecznej. Początkowo udzielana była głównie pomoc bezpośrednia, doraźna, często w postaci organizowania paczek z żywnością, słodyczami, prasą, organizowana przy współpracy wielu innych emigracyjnych organizacji i związków. Bardzo szybko jednak głównym celem działu stało się wyprowadzenie wychodźstwa z depresji, marazmu, poprzez aktywizowanie do pracy, do zakładania własnych działalności gospodarczych oraz wsparcie prawne podejmowanych inicjatyw. W pierwszych latach powojennych stowarzyszenie nie posiadało dużych środków finan-

sowych, ale jego członkowie zasiadali w Komisji Pożyczek Inwestycyjnych przy Funduszu Społecznym Żołnierza, która udzielała kombatantom pożyczek na zakładanie lub modernizowanie warsztatów pracy. Rocznie udzielano kilkuset pożyczek inwestycyjnych – kwoty nie były wysokie, ale w wielu wypadkach pozwalały na rozkręcenie własnego biznesu.

W 1953 roku SPK OWB wygrało batalię prawną o przejęcie tzw. sum włoskich, czyli środków pochodzących z Funduszu Społecznego Żołnierzy 2. Korpusu oraz innych funduszy

znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej.

W ramach Biura Informacji i Porad wspieranego emigrantów w poznaniu meandrow brytyjskiego prawa, pomagano w redagowaniu, wystawianiu czy tłumaczeniu dokumentów, sporządzaniu świadectw o niekaralności itp. W pierwszym okresie emigracji biuro prowadziło wyteżoną pracę, wystawiając przykładowo w roku sprawozdawczym 1950/1951 ponad tysiąc dokumentów oraz udzielając blisko 10 tysięcy porad i informacji ustnych. Po 1956 roku i zmianie podejścia władz



korpusu, które Brytyjczycy zamrozili podczas dylokcacji do Wielkiej Brytanii. SPK, uważające się za prawnego spadkobiercę Polskich Sił Zbrojnych i Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, uzyskało w końcu ponad 213 tys. funtów szterlingów. Pozyskanie ogromnych funduszy pozwoliło na rozszerzenie działalności pomocowej przy zachowaniu stabilnego finansowania organizacji.

Pod koniec lat 50. XX wieku, w okresie odczuwalnego w Wielkiej Brytanii kryzysu gospodarczego i rosnącej fali bezrobocia, utworzono w ramach Działu Opieki Społecznej Biuro Zatrudnienia. Jednostka ta służyła pomocą w znalezieniu pracy, udzielała również zapomóg i pożyczek rodakom

PRL do emigracji BiP rozszerzyły swoją działalność o wsparcie prawne w tym zakresie – pomoc w redagowaniu listów z zaproszeniami, prowadzenie mediacji z Home Office w przypadku indywidualnych odmów wydania wiz, koordynowanie spraw urzędowych itp. W ramach SPK powołano także Polskie Towarzystwo Powiernicze, które zajmowało się regulowaniem kwestii spadkowych po zmarłych, mających krewnych w Polsce.

Koła terenowe i Domy Kombatanta

Koła terenowe Stowarzyszenia Polskich Kombatantów tworzone były w niemal każdym polskim skupisku na terenie Wielkiej Brytanii. Wynikało



Przybycie nowych żołnierzy 2. Warszawskiej Dywizji Pancerniej do obozu Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w Ayr FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

to przede wszystkim z ogromnego zainteresowania członkostwem w szeregach SPK. W 1947 roku do organizacji należało ponad 30 tys. członków, skupionych w 257 kołach, jednak w kolejnych latach liczby te ulegały licznym zmianom: 9 tysięcy w 1949 roku, 14,5 tys. dwa lata później, 10,5 tys. w 1956 roku. Pod koniec lat 50. XX wieku liczba członków SPK ustabilizowała się na poziomie ok. 6,5–7 tys., skupionych w ponad 110 kołach. Oddziały terenowe SPK liczyły od 2 do ponad 300 członków (średnio od 20 do 50).

Siedziby kół terenowych SPK zawsze stawały się centrum lub jednym z kluczowych miejsc spotkań lokalnej Polonii. W zależności od wielkości i majątności danego koła mieściły się w domach członków SPK, w wynajmowanych pomieszczeniach – klubach, bibliotekach, salach lub w specjalnie w tym celu utworzonych Domach Kombatanta. W większości przypadków starano się aby Domy Kombatanta mieściły się w budynkach na tyle dużych, aby mogły pełnić różnorakie funkcje: miejsca spotkań Polaków, kawiarni/restauracji/klubu towarzyskiego, biblioteki, siedziby szkoły sobotniej, a także hotelu. *Jeszcze w Londynie mówiono nam, że Dom Kombatanta w Manchesterze jest jednym*

Zostaliśmy na obczyźnie, aby tu wypełnić testament poległych w walce o wolność Ojczyzny

gen. Władysław Anders

z największych domów polskich w W. Brytanii. I tak jest w istocie. Przede wszystkim trzeba wymienić znowu największą w Anglii salę imprezową, która ma 350 miejsc siedzących i dużą salę. Poza tym, oprócz biur, znajdują się tu: restauracja i bar, kawiarnia, biblioteka, czytelnia, pokój bilardowy, pokój z telewizją, sala wykładowa, kiosk z gazetami i książkami, i pokój noclegowy na trzy łóżka. Własna siedziba pozwala na nieskrępowane prowadzenie działalności, służyła także – na zasadzie wynajmu – innym organizacjom polonijnym. Dobrze prowadzony Dom Kombatanta pozwalał na pozyskiwanie dodatkowych środków finansowych, niezbędnych do zabezpieczenia funkcjonowania organizacji.

Niezmiernie ważnym elementem było prowadzenie akcji oświatowo-

-kulturalnej, a zwłaszcza umożliwienie wykorzystania siedzib kół terenowych SPK na tzw. szkoły polskie. Były to szkoły nieobowiązkowe, w których uczono tzw. przedmiotów ojczystych – języka polskiego, literatury polskiej, historii i geografii Polski oraz religii. Nie tylko użyczano miejsca do prowadzenia zajęć. Na podstawie *Statutu Szkół Ojczystych SPK w W. Brytanii* SPK uregulowało sprawy administracji szkół, kompetencje kierownictwa, nauczycieli i rodziców, prowadziło także nadzór pedagogiczny w prowadzonych szkołach, zapewniało pomoc instruktorską i kształcenie nauczycieli. W latach 50. XX wieku SPK prowadziło 50–60 szkół, w których uczyło się ponad 3000 dzieci. Działaniem uzupełniającym było prowadzenie własnych bibliotek oddziałowych, oraz szerokie wsparcie czytelnictwa polskiego poprzez zakup książek dla organizacji i jednostek polonijnych.

Polscy weterani byli członkami wielu emigracyjnych organizacji społecznych. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów było największą z nich, i – wydaje się – najbardziej prężną, co podkreślano w trakcie zjazdów stowarzyszenia. *W miarę naszych możliwości wypełniliśmy formy organizacyjne treścią życia codziennego, kultywując i zachowując kulturę narodową, tworząc załączki polskiego życia na uchodźstwie, organizując życie samopomocowe i gospodarcze, a przede wszystkim tworząc liczne zastępy ludzi uspołecznionych i świadomych swych obowiązków w pracy na dziś i jutro. W rozpoczętej pracy nie możemy ustawać – odwrotnie musimy ją pogłębiać wśród nas samych i rozszerzać na tych, co są obojętni, co wciąż stoją jeszcze na uboczu. Tę pokojową walkę o polskość prowadzono przez cały okres emigracji, podążając za słowami gen. Władysława Andersa: *Zostaliśmy na obczyźnie, aby tu wypełnić testament poległych w walce o wolność Ojczyzny.** ■

Trudna współpraca

Jerzego Giedroycia i Melchiora Wańkowicza

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

TEKST | Agata Fijuth-Dudek

Chociaż Jerzy Giedroyc i Melchior Wańkowicz poznali się jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, to dopiero przymusowa wrześniowa emigracja w Bukareszcie 1939 roku połączyła ich bliżej.

Melchior Wańkowicz musiał uciekać z Polski, był bowiem ścigany przez hitlerowców z powodu opublikowanej w 1936 roku, krytycznej wobec Niemiec, książki „Na tropach Smętka”. Opisał w niej eskalującą przemoc do rdzennej, polskojęzycznej ludności mazurskiej ze strony ludzi pochodzenia niemieckiego. Po wybuchu II wojny Wańkowicz trafił,

jak wielu rodaków, do Rumunii, gdzie narażony był na niemieckie represje. Nie mógł się jednak z niej ewakuować, ponieważ nowo utworzony rząd polski na uchodźstwie nie darzył Wańkowicza sympatią, uznając go za zwolennika sanacji. Z opresji wybawił go Jerzy Giedroyc, który wykorzystując swoje znajomości, pomógł Wańkowiczowi wyjechać w końcu na Cypr, a następ-

nie – już w Palestynie – dostać się do 2. Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Został w nim wojennym korespondentem, zyskując dużą popularność wśród żołnierzy.

W 1946 roku Jerzy Giedroyc założył Instytut Literacki, a wraz z nim powstał miesięcznik „Kultura”. Melchior Wańkowicz przebywał wówczas na

emigracji w Londynie i niemal natychmiast nawiązał z redakcją kontakt. Giedroyc wspominał później, że w owym czasie pisarz poruszał tematy, które bardzo zajmowały redakcję, łączyła ich także zbliżona postawa wobec kraju. Dzięki zachowanej korespondencji można prześledzić, jak kształtowała się współpraca założyciela jednego z najważniejszych ośrodków polskiej emigracyjnej myśli politycznej oraz uznanego pisarza. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, biografka Wańkowicza, autorka przedmowy do tomu listów między redaktorem i pisarzem, zwracała uwagę, że z korespondencji wylania się postać Wańkowicza, pracowitego pisarza, jednak silnie osamotnionego,

do Giedroycia w 1950 roku pisał o swoim stosunku do miesięcznika bardzo sugestywnie: *Myślę o tym, że „Kultura” może się nie utrzymać, jak o wielkiej wprost osobistej klęsce. Można*

Nie czuję się na siłach tworzenia prądu historycznego. Moja ambicja idzie jedynie w kierunku stworzenia warsztatu eksperymentalnego

wania tworzonego pisma: *Nie czuję się na siłach tworzenia prądu historycznego. Moja ambicja idzie jedynie w kierunku stworzenia warsztatu eksperymentalnego, w którym się studiuję, analizuję, wyciąga wnioski i te wnioski próbuje realizować. (...) Nie chcę z „Kultury” robić kapliczki ani formułować dogmatycznych tez.* Czas pokazał, że Instytut Literacki w Paryżu wraz z wydawanymi periodykami okazał się ważnym ośrodkiem polskiej emigracyjnej myśli politycznej, a wypracowane tam kierunki działań były realizowane przez państwo polskie po odzyskaniu niepodległości.

W 1950 roku Melchior Wańkowicz opublikował na łamach „Kultury” artykuł „Klub Trzeciego Miejsca”, który wywołał spore poruszenie. Autor krytykował Zachód oraz Stany Zjednoczone, które uważał za „ogon kultury europejskiej”. Uważał, że w światowej rozgrywce mocarstw zwycięży Związek Radziecki, który jednak nie będąc w stanie urządzić świata, ulegnie rozpadowi. Twierdził, że rozpoczyna się „międzyepoka”, w której to intelektualści „Klubu Trzeciego Miejsca” powinni wziąć na siebie odpowiedzialność za naród, ten w kraju i ten na emigracji. Giedroyc stawiał, chociaż z zastrzeżeniami, na Amerykę, uznając ją za sojusznika polskich spraw w walce o suwerenność. Równocześnie z dyskursem na tematy ideologiczne, z kwestią druku i korektą artykułów czy opiniami na temat poszczególnych numerów „Kultury”, zaczęły pojawiać się problemy finansowo-rozliczeniowe. Wańkowicz dopominał się kalkulacji, Giedroyc czasami zwlekał.

Warto wspomnieć, że pisarz przebywający na emigracji był w naprawdę trudnej sytuacji materialnej. Wielokrotnie wspominał o niej w listach do redaktora. Wańkowicz wraz z żoną osiedli w Stanach Zjednoczonych. Pomagali córce, absolwentce amerykańskiego uniwersytetu, prowadzić kurzą farmę. Pisarz opowiadał w jednym



Melchior Wańkowicz FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Jerzy Giedroyc w siedzibie Instytutu Literackiego przy Avenue de Poissy 91 Maisons-Laffitte, gdzie mieszkał od 1954 r. FOT. PAP / JERZY RUCIŃSKI



borykającego się z brakiem uznania, a czasem nawet z nagonkami środowiska emigracyjnego.

To również sylwetka człowieka sfrustrowanego, któremu brak zawodowych perspektyw, trafiającego w próżnię ze swoimi tekstami. To wszystko spowodowało, że ten poczytny, popularny w międzywojniu pisarz, zaczął popadać w coraz większe finansowe tarapaty. Nawiązując współpracę z paryską „Kulturą” Wańkowicz wiązał z nią przyszłość. W jednym z listów

latami nie pisać, ale trzeba mieć świadomość, że w razie czego będzie gdzie napisać. Kiedy siedzieliśmy na Cyprze, ludzie dochodzili do patologicznych stanów przez samą myśl, że są na wyspie. Że są uwięzieni. W Palestynie ich stany przeszły, aczkolwiek w rzeczywistości nic się nie zmieniło.

Również Jerzy Giedroyc w początkowym etapie współpracy był zaangażowany w znajomość z Wańkowiczem, w jednym z listów to właśnie jemu kreślił własne dążenia i wizje kształto-

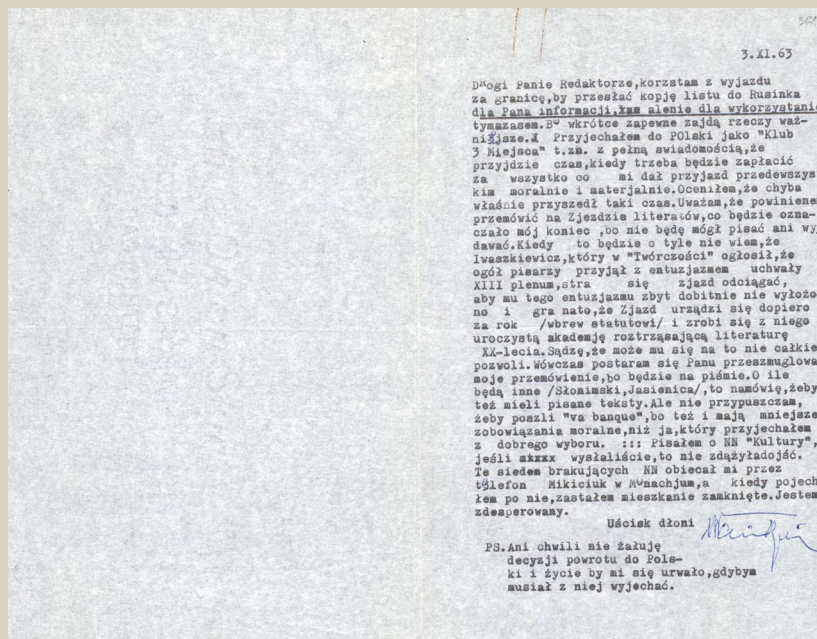
z listów: *Dziękuję za pamięć w tym moim odludziu. Segreguję, myję i pakuję jajka, bo to robota wymagająca najmniej fachowości. Poza tym palę w piecu i wynoszę śmieci, skrobię kartofle i bezapelacyjnie władam odkurzaczem. Żona gotuje, sprząta, dogląda dzieci, co pozwoliło córce oddać się farmie. Zięć bowiem jest robotnikiem w fabryce dywanów na nocnej zmianie i gdybyśmy nie przylecieli, to musielibyśmy zwinąć farmę, bo nie mogli ze wszystkim nadążyć. Nasz przyjazd uchronił od tego, więc to skromne zadowolenie, które mam przy każdej wykończonej i przedźwiganej skrzyni jajek: że mało się zrobiło, ale przynajmniej nie w dziedzinie fikcji.*

Na emigracji nie było zainteresowania twórczością pisarza, nie znajdował on uznania w oczach wydawców i krytyków i czuł się osamotniony. Wymowny jest fragment listu do Giedroycia, w którym Wańkowicz prosił o przysłanie recenzji na swój temat. Pozornie dowcipna forma, skrywa gorycz świadomości własnego położenia: *Czy nie może mi Pan przysłać wycinka? Kiedy go otrzymam przy swoim miociu jajek, będzie to, jakby babci pilnującej szaletu przysłał ktoś znaleziony przy przebudowie teatru pantofelek, w którym ongiś tańczyła.*

Tymczasem „Kultura” coraz wyraźniej identyfikowała się z poglądami prozachodnimi, niewątpliwie był to m.in. rezultat przebywania członków redakcji i najważniejszych współpracowników na emigracji. Stosunki Giedroycia z Wańkowiczem zaczęły się ochładzać, a na plan pierwszy wśród publicystów „Kultury” wysunęła się postać Juliusza Mieroszewskiego, który stał się wkrótce współtwórcą linii politycznej miesięcznika. To właśnie on sceptycznie ocenił pracę, którą Wańkowicz przesłał do redakcji pt. „Międzyepoka”. Miała to być analiza sytuacji społeczno-politycznej ówczesnego świata. Mieroszewski, poproszony przez Giedroycia o uwagi, krytycznie odniósł



Melchior Wańkowicz na ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie, październik 1956 r. FOT. PAP



List Melchiora Wańkowicza do Jerzego Giedroycia z 3 listopada 1963 r. FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO

się do tekstu, zarzucając pracy, że jest nazbyt „wschodnia”, a pisarz nie rozumie problemów i specyfiki Zachodu.

Redaktor ostatecznie odmówił druku, a Wańkowicz coraz krytyczniej zaczął się wyrażać się o „Kulturze” zarzucając pismu, że nie chce przebudowywać rzeczywistości, a jedynie prze-mieblowywać. Pisarz wydawał się zdezorientowany co do swojego miejsca i roli, a w jego listach widać coraz większe rozczarowanie współpracą. Jerzy Giedroyc mu odpowiadał: *Co do tego*

przemeblowywania, zamiast przebudowywania, to jest Pan dość niesprawiedliwy. To nie jest tak łatwo. Pan sam zresztą jak dotąd poza (czasami nie zawsze ścisłą) krytykę i analizę nie wychodzi. To nie jest takie proste. Wańkowicz zaczął czuć się nieważny, spychany na margines. W kontekście „Międzyepoki” wymawiał redaktorowi, że jego praca jest marnowana. Rozprawił się także z zarzutami Giedroycia, który wskazywał na jej faktograficzne nieścisłości. W jednym z listów pisarz

starał się je zignorować, twierdząc, że książka ideologiczna nie musi być encyklopedycznie precyzyjna.

W 1955 roku polskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego założyło Melchiorowi Wańkowiczowi sprawę agenturalnego rozpracowania o kryptonimie „Pisarz”. Polskie władze jednak szybko zorientowały się, że istnieje możliwość nakłonienia Wańkowicza do powrotu do kraju i wykorzystania tego w celach propagandowych. Rozpoczęła się praca zakrojona na szeroką skalę; do miejsca zamieszkania pisarza w Stanach Zjednoczonych wysłano informatorów, którzy zaczęli nakłaniać go do przyjazdu do Polski. Wykorzystali fatalną sytuację finansową pisarza oraz brak perspektyw wy-

tował: *Każdy facet, któremu na Zachodzie się nie powiodło, wraca do Polski jako „mistrz”, „sława światowa”, obojętne, czy to będzie Kiepusza, Wańkowicz, Małcużyński; można w nieskończoność wymieniać listę tych nieudaczników,*

Na emigracji nie było zainteresowania twórczością pisarza, nie znajdował on uznania w oczach wydawców i krytyków i czuł się osamotniony

dzie czas, kiedy trzeba będzie zapłacić za wszystko moralnie i materialnie. Ocenilem, że powinienem przemówić na Zjeździe Literatów, co będzie oznaczało mój koniec, bo nie będę mógł pisać ani wydawać. (...) Ani chwili nie żałuję decyzji powrotu do Polski i życie by mi się urwało, gdybym musiał z niej wyjechać. To ostatnie zdanie wymownie świadczy o tym, że Wańkowicz innej decyzji niż powrót do ojczyzny podjąć nie mógł. Wydaje się także, że ocena Jerzego Giedroycia była nazbyt surowa. W 1964 roku Melchior Wańkowicz został w Polsce aresztowany za złożenie podpisu pod „Listem 34”, protestem intelektualistów przeciw cenzurze w Polsce.

Zachowana korespondencja między Jerzym Giedroyciem a Melchiorzem Wańkowiczem wskazuje, że znajomość ewoluowała; od entuzjazmu po ochłodzenie stosunków za sprawą odmiennego oglądu spraw politycznych, otaczającej rzeczywistości i nadchodzącej przyszłości. Kontakty pisarza i redaktora to niewątpliwie starcie dwóch wielkich osobowości, z których każda miała własne cele i ambicje. Giedroyc pilnował spraw związanych z rozwojem pisma, Wańkowicz pragnął zaś być docenionym, drukowanym i uznanym pisarzem, co mógł uczynić tylko w Polsce, mimo wysokich kosztów, które przyszło mu zapłacić. Niełatwa relacja pisarza i redaktora jak w soczewce pokazuje trudne, zawile, nieoczywiste losy powojennego świata. ■

dr Agata Fijuth-Dudek jest pracownikiem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Bibliografia:

Giedroyc J., M. Wańkowicz, „Listy – 1945–1963”, Warszawa 2000.

Siedlecka J., „Obława. Losy pisarzy represjonowanych”, Warszawa 2005.

Ziółkowska-Boehm A., „Na tropach Wańkowicza po latach”, Warszawa 2009.



Jerzy Giedroyc, Henryk Giedroyc i Zofia Hertz, Maisons-Laffitte, 1948 r.

FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO

dawniczych w USA. W 1956 roku Wańkowicz zdecydował się na odwiedzenie kraju, po dwóch latach wrócił na stałe. O ile odwiedzanie przez emigrantów kraju nie budziło większych zastrzeżeń redakcji „Kultury”, o tyle powroty były przez nią nie do zaakceptowania. Wystarczy wspomnieć gwałtowną reakcję Jerzego Giedroycia na powrót pisarza Zbigniewa Florczaka. Powrót Wańkowicza do kraju był dla niego kolejnym ciosem. W liście do Andrzeja Bobkowskiego emocjonalnie komen-

którzy w kraju wygrzewają się fałszywą legendą. Tu nie chodzi o „wybieranie wolności”, a w ogóle o pewien dynamizm i inicjatywę.

Tuż przed odjazdem na stałe do Polski Wańkowicz zaproponował jeszcze Giedroyciowi pisanie korespondencji z kraju. Ten jednak nie był zainteresowany. Ostatni zachowany list pochodzi z 1963 roku i jest swoistą spowiedzią Wańkowicza, który pisał: *Przyjechałem do Polski jako „Klub 3 miejsca”, tzn. z pełną świadomością, że przyji-*



TEKST | Grzegorz Majchrzak

„Odcinkowe konfrontacje”, które utorowały drogę do „mniejszego zła”

W przygotowaniach władz PRL do wprowadzenia stanu wojennego ważną, choć nadal mało znaną rolę, odegrała taktyka tzw. odcinkowych konfrontacji. Nie tylko przyniosła ona spadek poparcia dla NSZZ „Solidarność”, ale dała też pretekst ekipie Wojciecha Jaruzelskiego do sięgnięcia po „mniejsze zło”.

Sosnowiecka prowokacja

27 października 1981 roku przed bramą Kopalni Węgla Kamiennego „Sosnowiec” z przejeżdżającej czarnej wołgi „nieznani sprawcy” wyrzucili trzy fiolki z mocną i trującą substancją. Mimo że pękła tylko jedna z nich, w krótkim czasie kilkadziesiąt osób – głównie górnicy, ale również mieszkańcy okolicznych bloków, w tym dzieci – trafiło do szpitala z objawami zatrucia.

Działo się to w napiętej atmosferze – na Górnym Śląsku kończyło się właśnie ogłoszone przez NSZZ „Solidarność” pogotowie strajkowe w związku z planowanym na ten dzień procesem przewodniczącego Komisji Zakładowej w KWK „Sosnowiec” Wojciecha Figła. Figła, a także siedmiu innych działaczy kopalnianej „Solidarności”, oskarżono o rzekome popełnienie przestępstw w czasie strajku ostrzegawczego 7 sierpnia 1981 roku.

Sytuację dodatkowo podgrzała plotka, że ową substancją trującą był gaz bojowy, który na dodatek mógł zostać również wrzucony do szybów wentylacyjnych kopalni.

W proteście przeciwko tej oczywistej prowokacji załoga Kopalni Węgla Kamiennego „Sosnowiec” zdecydowała się na przeprowadzenie strajku okupacyjnego, który zakończyło dopiero porozumienie z 14 listopada 1981 roku. Tego protestu można było

uniknąć, gdyby rządzący właściwie zareagowali na zaistniałą sytuację – działacze Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” nie tylko złożyli doniesienie do prokuratury, ale również wystąpili do premiera i pierwszego sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego z żądaniem wyjaśnienia incydentu. Nie doczekali się jednak żadnej konkretnej reakcji. I nie ma w tym nic dziwnego, bo była to tzw. odcinkowa konfrontacja. Jedną z co najmniej kilku, jeśli nie kilkunastu, a z pewnością najgłośniejszą z nich.

„Odcinkowymi konfrontacjami” w opozycję

Historycy nie znają odpowiedzi na pytanie od kiedy były stosowane „odcinkowe konfrontacje”. Wiemy jednak, że propozycja ich stosowania pojawiła się 22 grudnia 1980 roku w trakcie posiedzenia Sztabu Operacji „Lato 80”. Sztab ten utworzono kilka miesięcy wcześniej w MSW, by skoordynować „zintensyfikowane działania jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”. Sztabem kierował przedstawiciel „jastrzębi” w resorcie, wiceminister Bogusław Stachura, który w latach 1980–1981 odegrał kluczową rolę w przygotowaniach stanu wojennego.

Ważną rolę w tych przygotowaniach odegrały również same „odcinkowe konfrontacje”. – *W imię zapewnienia stabilności ustroju i państwa socjalistycznego zachodzi potrzeba podjęcia decyzji i ustalenia kompleksowego programu działań zmierzających do zahamowania ofensywy sił antysocjalistycznych i zmuszenia ich do odwrotu* – uznano pod koniec 1980 roku przy Rakowieckiej. Problem w tym, że jednocześnie stwierdzono,

że na obecnym etapie niewskazane byłoby podjęcie generalnego i zmasowanego uderzenia ze strony władz, gdyż mogłoby to zrodzić trudne do przewidzenia konsekwencje, łącznie ze strajkiem generalnym wnoszącym element konfrontacji władze – społeczeństwo i zasadniczą trudność opanowania sytuacji własnymi siłami.

To nawiązanie do rozważanej niespełna tydzień wcześniej (16 grudnia) w MSW przymiarki do stanu wojennego w części kraju, z której zrezygnowano w obawie przed reakcją Polaków. Miał on zostać wprowadzony w sytuacji, gdyby działacze KOR – na czele z Jackiem Kuroniem – „zaostrzyli walkę z socjalizmem” i w odpowiedzi na ich aresztowanie „Solidarność” próbowała zorganizować strajk. Miał on objąć jedynie regiony zagrożone protestami – problem w tym, że obawiano się, że odpowiedzią związkowców na niego będą strajki w kolejnych, a w przypadku ogólnokrajowej konfrontacji nawet na Rakowieckiej obawiano się porażki. W tej sytuacji uznano, że *właściwą i dającą szansę powodzenia może być taktyka „odcinkowych konfrontacji” w zakresie neutralizowania i sprowadzenia do defensywy sił antysocjalistycznych.*

Zapobiec, a nawet doprowadzić do konfrontacji ze społeczeństwem...

Jak przy tym dodawano: *taktyka ta powinna wyrażać pełne zsynchronizowanie akcji politycznych i propagandowych oraz prezentacji programu rozwiązań w sferze ekonomiczno-społecznej ze stosowaniem skutecznej dolegliwości represyjnej wobec przywódców i ośrodków kierowniczych grup antysocjalistycznych. Mając przestanki skuteczności, przy odpowiednim rozegraniu poszczególnych operacji, taktyka „odcinkowych konfrontacji” wydaje się być realna i daje większe szanse zabezpieczenia przed powstaniem stanu konfrontacji generalnej.*

Tej ostatniej jednak nie zamierzano wcale unikać. Wręcz przeciwnie. Jak bowiem dodawano: *Trzeba jednak liczyć się z tym, że każde nasze jednostkowe działanie może wywołać reakcję przeciwnika, uruchamiając napięcia i zderzenia lokalne, regionalne, a nawet konfrontację w skali całego kraju pomiędzy społeczeństwem, a władzą. Do tego musimy być odpowiednio przygotowani. Oznaczało to z kolei, że przystąpienie do realizacji taktyki „odcinkowych konfrontacji” miało być zsynchronizowane z odpowiednimi działaniami politycznymi, propagandowymi, pracą operacyjną MSW oraz zapewnieniem warunków panowania nad ośrodkami i strukturami, zainteresowanymi stabilizacją wewnętrzną (Kościół), bądź politycznie niezdecydowanymi (bardziej umiarkowane kręgi „Solidarności”, inteligencji).*

Ważną rolę miała odgrywać propaganda, która – jak zakładano – „powinna konkretnie i rzeczowo atakować przeciwnika i być przekonującą dla społeczeństwa”. Nie zapomniano również o „politycznej aprobacie” dla działań MSW ze strony „aktywu partyjnego i społecznego”, w tym „czynnym współudziale członków stronnictw sojusznicznych” (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego). Oczywiście decyzje miały zapadać jednak w KC PZPR. Uderzenie w opozycję, a dokładniej w tę część opozycji uznaną za zagrożenie dla ustroju (głównie w działaczy KOR oraz – w zdecydowanie mniejszym stopniu – Konfederacji Polski Niepodległej) miało mieć „charakter działań selektywnych, odpowiednio przygotowanych, poprzedzonych analizą możliwości osiągnięcia efektów i ukierunkowanych na wytypowane zjawiska, ośrodki i ludzi”.

Prowokacja na Woronicza

Nie dysponujemy oczywiście listą „odcinkowych konfrontacji” z lat 1980–1981. Nie ulega jednak wątpliwości,

że Sosnowiec nie był ani pierwszym tego rodzaju przypadkiem, ani też ostatnim. Ile ich jeszcze było zapewne nigdy się nie dowiemy. Czy było nią np. pobicie w dniu 16 marca 1981 roku działaczy NSZZ „Solidarność” i NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” zaproszonych na sesję Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy po jej niespodziewanym przerwaniu przed punktem, na który przybyli? Wydaje się to całkiem prawdopodobne. A warto w tym miejscu przypomnieć, że wydarzenie to spowodowało najpoważniejszy kryzys w relacjach między władzami PRL, a związkiem w latach 1980–1981.

Przypadek, który miał miejsce pół roku później wydaje się już jednak oczywisty. Otóż na 21 września 1981 roku zaplanowane było – w Warszawie – spotkanie pracowników Polskiego Radia i Telewizji Polskiej z przewodniczącym Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” Lechem Wałęsą. Jednak 19 września Wałęsa przełożył je na późniejszy termin, uzasadniając swoją decyzję nawałem spraw przed drugą turą I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, która rozpoczynała się 26 września. Tymczasem po odwołaniu wspomnianego spotkania nieznaną kobietą zaprosiła – rzekomo w imieniu działaczy „Solidarność” w Komitecie ds. Radia i Telewizji – robotników z Zakładów Mechanicznych „Ursus” na spotkanie z członkami KKP. W efekcie niemal równocześnie z autokarem z „Ursusa” na ulicy Woronicza pojawili się licznie funkcjonariusze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (trzy ciężarówki, trzy gaziki oraz „Nysa”) uzbrojeni w broń długą. I – jak to później opisywali związkowcy z radia i telewizji: *Tylko dzięki zimnej krwi działaczy KZ NSZZ „Solidarność” przy PR i TV w Warszawie nie doszło do starcia pomiędzy robotnikami [oraz] pracownikami radia i telewizji, a oddziałami*

ZOMO, które wykazały pełną gotowość do użycia broni. Przy czym – jak zwracała uwagę Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” w Komitecie ds. Radia i Telewizji oraz Krajowa Komisja Koordynacyjna Radia i Telewizji – był to „pierwszy wypadek od grudnia 1970 roku, w którym władze zagroziły użyciem broni wobec robotników”. Z kolei incydent z 21 września 1981 roku uznały – całkiem zresztą słusznie – za „groźną prowokację”. Na szczęście tym razem nieudaną...

Taktyka „odcinkowych konfrontacji” dała pretekst dla siłowej rozprawy z opozycją i przyczyniła się do zmniejszenia skali oporu społecznego

„Wpuszczać przeciwnika w maliny...”

Na Rakowieckiej jednak absolutnie nie zrażano się tym drobnym niepowodzeniem, wręcz przeciwnie. Nieco ponad dwa tygodnie później – 4 października – sam minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak, podczas posiedzeniu kierownictwa resortu spraw wewnętrznych, nakazywał swoim podwładnym: *Aktywniej działać w tym kierunku, aby wpuszczać przeciwnika w maliny, w sytuacje, które będą stawiać wroga w trudne lub kompromitujące go położenie, a zwłaszcza pokazywać, że jest nieodpowiedzialny, awanturniczy i prowadzi kraj do nieszczęścia.* To nie wszystko – nakazywał również „utrzymywanie atmosfery napięcia”, a także „podgrzewanie nastrojów, gdyż kolejne strajki mogą dać pretekst do wprowadzenia stanu wojennego”. To w sposób oczywisty nawiązanie do taktyki „odcinkowych konfrontacji”.

Trudno zresztą nie odnieść wrażenia, choć oczywiście próżno szukać potwierdzenia tego w dokumentach, że wiele strajków i protestów (szczególnie tych z jesieni 1981 roku) było świadomie prowokowanych przez władze PRL, w tym przez Służbę Bezpieczeństwa. Zdarzały się jednak również przypadki ewidentne, takiej jak zdarzenia przed KWK „Sosnowiec”...

„Solidarność” traciła, a władza zyskiwała

Co gorsze te działania przynosiły požądany – oczywiście z punktu widzenia rządzących – efekt. Otóż pod koniec 1981 roku władzom (w tym Służbie Bezpieczeństwa) udało się znacząco zmniejszyć poparcie społeczne dla „Solidarność”. Mało tego, jednocześnie zwiększyć je dla rządzących. Niewątpliwie przyczyniła się do tego kampania propagandowa, której najważniejszym elementem była teza o rzekomo niszczących kraj strajkach. Tych strajkach, które – o czym była mowa – mieli prowokować podwładni Kiszczaka... Potwierdzały to dane Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych Komitetu ds. Radia i Telewizji, z którego badań wynikało, że działalności związku w drugiej dekadzie września popierało jeszcze 74 proc. respondentów, a w drugiej dekadzie listopada już tylko 58 proc. W tym samym czasie zaufanie do rządu, który jedynie pozorował chęć porozumienia, zapobieżenia kolejnym protestom oraz podsycania napiętej sytuacji w kraju, miało wzrosnąć z 30 do 51 proc. Jednocześnie, jeśli wierzyć tym danym, Polacy coraz częściej winą za sytuację w kraju obarczali związek (wzrost z 12 proc. do 22 proc.), a coraz rzadziej władze PRL (spadek z 51 proc. do 34 proc.).

„Stój, bo strzelam”

To nie wszystko. Dzięki działaniom MSW – w tym „odcinkowym konfrontacjom” – udało się również w końcu



Wojciech Figiel (z prawej) na spotkaniu związkowców NSZZ „Solidarność” kopalni „Sosnowiec” przed rozmowami z komisją rządową, Sosnowiec 13 listopada 1981 r. FOT. PAP / CAF / STANISŁAW JAKUBOWSKI

zdobyć wygodny pretekst dla wprowadzenia stanu wojennego, o którym na początku października wspominał minister Czesław Kiszczak. Znaczącą w tym rolę odegrały wydarzenia w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie. Otóż na tej strażackiej uczelni wybuchł – w nocy z 24 na 25 listopada – strajk. Kolejny już zresztą tej gorącej jesieni studencki protest. Jak do niego doszło? 15 listopada 1981 roku – podczas zebrania Komitetu Uczelnianego PZPR w WOSP – poinformowano, że po planowanej nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym zmieni się status uczelni. Miała się ona stać wyższą szkołą wojskową – dotychczas była szkołą cywilną, choć podległą MSW.

Podchorążowie obawiali się, że w tej sytuacji mogą zostać wykorzystani – podobnie, jak ich starsi koledzy w Marcu '68 – do tłumienia protestów społecznych. Oprócz kolejnych uchwał studenci postanowili zwołać na 24 listopada wiec w sprawie statusu szkoły. Zanim jednak do niego doszło zdarzył się incydent, który okazał się przysłowiową „iskrą zapalną”, bezpośrednim powodem strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej – podchorążowie zmierzający na wiec zostali zatrzymani przez szefa szkolnej placówki Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej komendą: „Stój, bo strzelam”. Ich protest – mimo niezwykłej solidarności i wytrwałości

młodych strażaków – zakończył się siłą pacyfikacją.

Radomski pretekst

Do pacyfikacji doszło 2 grudnia 1981 roku i była ona – jak się później okazało – próbą generalną przed wprowadzeniem stanu wojennego, m.in. odcięto wówczas łączność telefoniczną mazowieckiej „Solidarności”. Siłowe zakończenie protestu podchorążych miało jednak inne reperkusje. Otóż walnie przyczyniło się do przebiegu posiedzenia Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów NSZZ „Solidarność” 3 grudnia w Radomiu. Podsyciło i tak napiętą sytuację w kraju, w której związkowcy na swoje postulaty i żądania otrzymywali jedną odpowiedź: nie. W efekcie to nieformalne gremium (de facto bez żadnych realnych kompetencji) przyjęło w Radomiu twarde „stanowisko”, a w czasie obrad – jak to zresztą i wcześniej w czasie posiedzeń władz związku bywało – niektórzy mówcy nie przebiegali w słowach. Dzięki dwóm swoim tajnym współpracownikom Służba Bezpieczeństwa nagrała obszernie fragmenty tego posiedzenia. Kilka dni później starannie dobrane wypowiedzi wyemitowało Polskie Radio. Emisjom radiowym towarzyszyły również audycje telewizyjne oraz prowadzona na szeroką skalę kampania prasowa. Cel władz był jasny – przekonanie

społeczeństwa, że kierownictwo „Solidarności” rzekomo dąży do krwawego starcia z władzami. A także, że nawet umiarkowani działacze związku, na czele z Lechem Wałęsą, nie chcą już porozumienia, lecz konfrontacji. A to dawało doskonały pretekst do sięgnięcia po „mniejsze zło”, czyli wprowadzenie stanu wojennego.

Prowokacja, której „zapobiegł” stan wojenny

Niejako ubocznym efektem pacyfikacji WOSP miała być zwołana decyzją władz Regionu Mazowsze na 17 grudnia 1981 roku pokojowa manifestacja przeciwko używaniu siły do rozwiązywania konfliktów społecznych. W jej trakcie – jak przez lata twierdził „architekt stanu wojennego” Jaruzelski – rzekomo miało dojść do bliżej nieokreślonej, krwawej prowokacji. Nigdy niestety nie sprecyzował, przez kogo zorganizowanej. W domyśle wprowadzony przez niego stan wojenny miał jej zapobiec...

Podsumowując, nie ulega wątpliwości, że taktyka „odcinkowych konfrontacji” przyniosła oczekiwane przez jej pomysłodawców z resortu spraw wewnętrznych efekty. Nie tylko dała pretekst dla siłowej rozprawy z opozycją, ale również znacząco przyczyniła się – powodując zmęczenie, zniechęcenie Polaków ciągłymi konfliktami – do zmniejszenia skali oporu społecznego po 13 grudnia 1981 roku. To były skutki doraźne. Ale były również i te długofalowe. Część z nich trwa zresztą do dziś, powodując aprobata dla decyzji o sięgnięciu po „mniejsze zło”, które miało zapobiec większemu nieszczęściu w sytuacji, kiedy rzekomo szans na porozumienie między peerelowskimi władzami, a radykalizującym się NSZZ „Solidarność” nie było. Oczywiście nie z winy rządzących, lecz związkowców... ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

Są wielkie słowa, które powinniśmy wypowiadać często: dziękuję, jestem wdzięczny. To one pokazują prawdziwy stosunek do tych, którzy za naszą wolność walczyli, za wolność cierpieli i odnieśli rany, a później o niej opowiadali. Nie wszyscy, drodzy kombatanci, byliście w pierwszej linii boju. Ale wszyscy jednakowoż tę walkę cały czas popularyzujecie, niesiecie wieść o niej i przekazujecie wartości dla młodszych i współczesnych pokoleń – podkreślił Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell podczas spotkania opłatkowego z weteranami.

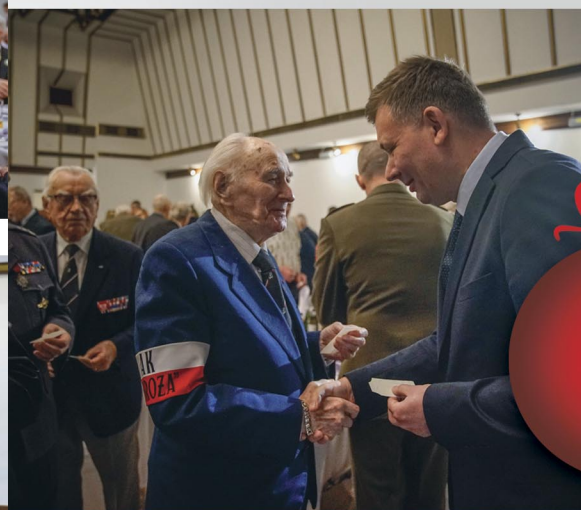


Spotkanie przedświąteczne z kombatantami

Centrum Konferencyjne Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 10 grudnia 2024 r.



Szef UdSKIOR przekazał akt mianowania na wyższy stopień oficerski kpt. rezerwy Edwardowi Purkiewiczowi



FOT. UDSKIOR (6)



Podczas uroczystości osoby zasłużone zostały odznaczone Medalami „Pro Patria”, „Pro Bono Poloniae” oraz Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości